

## Oby CZWARTY LIPCA Był w Tym Roku SPOKOJNYM i POWAŻNYM Świętem!

GDY zjawia się dzień Czwartego Lipca, mimowoli przychodzi na myśl kraj ten jakim był po dawne lata, jakim był wtedy, gdy do tego kraju przybywali pierwsi pionierzy ze szczytnymi ideałami uczynienia z tej ziemi idealnej krainy, która byłaby szczęściem dla wszystkich!

Był to dawnymi laty kraj nie tak wyszukany, bez modernizmów, bez szybkości, bez pośpiechu i bez gwałtu życia. Ale był bliższym natury, był szczerzym i serdeczniejszym.

I święta były innymi.

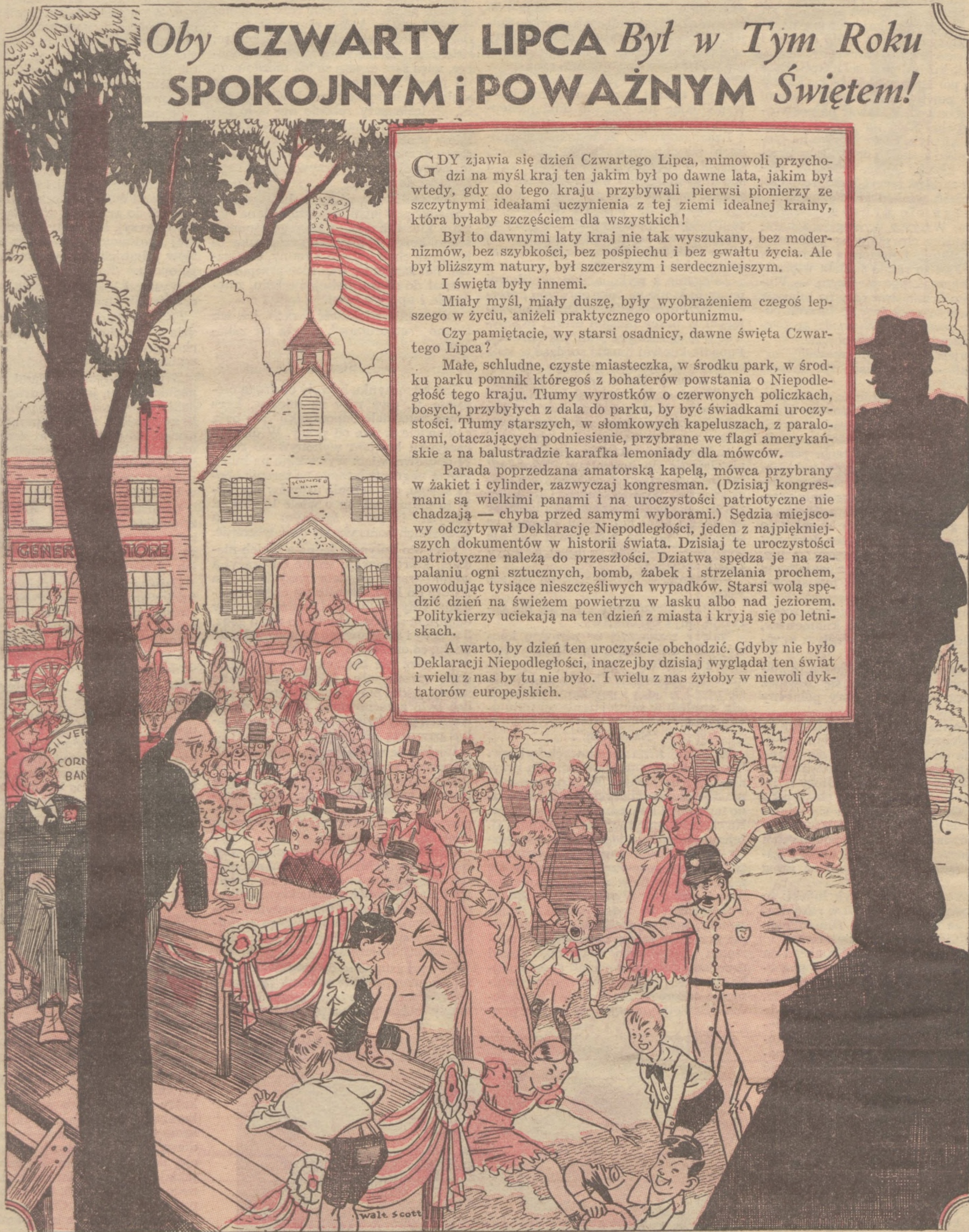
Miały myśl, miały duszę, były wyobrażeniem czegoś lepszego w życiu, aniżeli praktycznego oportunizmu.

Czy pamiętacie, wy starsi osadnicy, dawne święta Czwartego Lipca?

Małe, schludne, czyste miasteczka, w środku park, w środku parku pomnik któregoś z bohaterów powstania o Niepodległość tego kraju. Tłumy wyrostków o czerwonych policzkach, bosych, przybyłych z dala do parku, by być świadkami uroczystości. Tłumy starszych, w słomkowych kapeluszach, z parolami, otaczających podniesienie, przybrane we flagi amerykańskie a na balustradzie karafka lemoniady dla mówców.

Parada poprzedzana amatorską kapelą, mówca przybrany w żakiet i cylinder, zazwyczaj kongresman. (Dzisiaj kongresmani są wielkimi panami i na uroczystości patriotyczne nie chadzają — chyba przed samymi wyborami.) Sędzia miejscowy odczytywał Deklarację Niepodległości, jeden z najpiękniejszych dokumentów w historii świata. Dzisiaj te uroczystości patriotyczne należą do przeszłości. Działwa spędza je na zapalaniu ogni sztucznych, bomb, żabek i strzelania prochem, powodując tysiące nieszczęśliwych wypadków. Starsi wolą spędzić dzień na świeżym powietrzu w lasku albo nad jeziorem. Politykierzy uciekają na ten dzień z miasta i kryją się po letniskach.

A warto, by dzień ten uroczystie obchodzić. Gdyby nie było Deklaracji Niepodległości, inaczejby dzisiaj wyglądał ten świat i wielu z nas by tu nie było. I wielu z nas żyłoby w niewoli dyktatorów europejskich.



© 1937. EVERYWEEK MAGAZINE





FRANCISZEK OLECHNOWICZ

## PRAWDA O SOWIETACH

(WRAŻENIA Z 7-LETNIEGO  
POBYTU W WIEZIENIACH  
SOWIECKICH R. 1927-1933)

(Ciąg dalszy)

Na robocie.

Godzina 3 w nocy. Rozlega się dźwięk dzwonu, budzącego obóz ze snu. Dyżurni przynoszą z suszarni "walenki" i in. części ubrania, które przemoczone śniegiem podczas poprzedniego dnia pracy, wymagało suszenia. Wśród wrzasków, wyzwisk i przekleństw przy małym świetle lampki naftowej grzebią się pościacie ludzkie w stosach rzuconej na podłogę odzieży, szukając swego ubrania. Ci, którym się już udało odnaleźć wszystkie części swej garderoby, biegną z miską do kuchni po śniadanie. Szybko się zjada poranny posiłek, bo rychło się rozlegnie powtórne uderzenie dzwonu, kiedy trzeba będzie stawać na podwórku do apelu. Ktoś na górnej przycy rozlał jakiś płyn. Ciecz spływa na głowę i do miski sąsiada z dołu. Znowu przekleństwa, krzyk, bójka. Wspólne nieśczęście zamiast łączyć ludzi, rozłącza, budząc złość, wściekłość, nienawiść.

Rozlega się drugie uderzenie w dzwon. Wszyscy wybiegają z baraku. Niektórzy chwytają na podwórku śnieg w dłonie i nacierają sobie ręce i twarz. Jest to ranna tualeta więźnia. Lecz większość tego nie czyni. — Wystarcza im łaźnia dwa razy na miesiąc. Na podwórzu przy świetle latarek odbywa się nocny apel. Wychodzi ze swego mieszkania naczelnik obozu.

— Witajcie, kompanie robocze!

— Zdra! — odpowiadamy chórem zgodnie.

Następuje rozdawanie narzędzi pracy: pił, siekier, łopat. Ruszamy. Dziesiętnicy na nartach prowadzą swych robotników do lasu na miejsce robót. Za nimi, również na nartach, posuwa się konwój. Idziemy gęsio, jeden za drugim, po wąskiej wydeptanej w śniegu ścieżynie. Doganiają nas sanie przeznaczone do wywozu drzewa. Piechury ustępują z drogi, waląc się w śnieg po pas. Sanie przeleciały chyżo, lecz nikt nie próbował nawet schwycić za nie, gdyż jazda dla więźniów, z wyjątkiem woźniców i dziesiętników, jest surowo wzbroniona.

Szliśmy piechotą na miejsce robót, odległe nieraz o dziesięć kilometrów, gdyż położone na przeciwnym krańcu wyspy.

Staje się coraz widniej. Po szarej północnej nocy rozpoczyna się również szary, lecz nieco widniejszy północny dzień.

Więźniowie zajmują przeznaczony na wyręb odcinek lasu. Dzielą się na trójki. Każda taka trójka spiera się z inną o lepsze miejsce, tj. gdzie drzewa rosną gęściej. Zaczyna się praca. Głosy ludzkie milkną. Słychać tylko głosy pił i siekier. Co chwila rozlega się odgłos walącej się jodły. Na razie trzask trącającego równowagę drzewa, potem szum zahaczających o sąsiednie konary gałęzi, wreszcie huk padającej na śnieg jodły.

Czasem rozlega się krzyk ludzki: to ktoś nieostrożny nie zdążył w porę usunąć się na bok. Drzewo runęło nań, przycinając go swym ciężarem....

Robota była akordowa. Na akord na trójkę dawano do zwalania — pierwszej kategorii, silniejszym 65 drzew, drugiej zaś kategorii, tj. słabszym — 45, które następnie trzeba było uciąć do określonej długości, poobrać gałęzie, złożyć je na kupę, powycinać okoliczne, zawadzające dojazdowi sań, pomniejsze drzewa i krzewy. Spiłowywać drzewo należało przy samym pniu, a ponieważ śnieg dosięgał nieraz piersi ludzkich, należało śnieg rozkopać i udeptać, by dotrzeć piłą prawie do samej ziemi.

Byli wśród nas ludzie młodzi, zdrowi, zawodowi drwale. Ci robotę swą wykonywali z łatwością. Jednak procent takich robotników był nader znikomym. Ogromną większość natomiast stanowili ludzie, którzy po raz pierwszy w życiu pracowali na robotach leśnych. Do tych ostatnich należeli przedstawiciele zawodów inteligenckich, kryminaliści różnego autoramentu, oraz chłopci ukraińscy, którym w ich stepowej ojczyźnie nie zdarzało się pracować przy wyrębie lasu.

Ponad siły.

Powrót z robót zaczynał się dość wcześnie — około godziny 1-ej po południu. To wracali trójki, składające się z zawodowych drwali. Przed wej-

ściem do baraku musieli okazać dozorczy przepustkę, stwierdzającą, iż zadana praca została wykonana. Potem wracali kolejno inni. Ostatnie trójki wracały około północy, pozostawało więc im, po zjedzeniu pozostawionego dla nich w kuchni obiadu, 2—3 godziny snu — do następnego dnia pracy! Ci, co nie mogli wykonać zadania na ostatni termin, pozostawiani byli w lesie celem ukończenia roboty. Zwykle codziennie w lesie pozostawało na noc do pięciu takich zalegających z robotą trójek. Opodalał spoczywał dozorca przy ognisku, do którego jednak więźniowie nie wolno było się zbliżyć. Z rana przynoszono mu zmniejszoną rację chleba (400 g) i musiał kontynuować robotę — wypełniając już zadanie dnia następnego.

Rzecz oczywista, że w takich warunkach więźniowie wciąż więcej i więcej zalegali w robocie, aż w końcu, po paru spędzonych bez snu w lesie nocach, gdy już nie miał sił ustać na nogach, odprowadzany był do "karceru" (aresztu) — ażurowej nieopalonej budy, stojącej na skraju wyspy u samego brzegu morza, gdzie wiatr hulał poprzez szpary w ścianie tak jak i na dworze.

Zaleganie z wykonaniem akordowej pracy było nie na rękę zarówno dozorcą jak i dziesiętnikom. Dzięki zalegającym w pracy musieli dłużej przebywać w lesie zarówno jedni jak i drudzy. Ponadto konwój musiał spędzać w lesie całą noc u ogniska, pilnując pracujących w nocy. Toteż konwój, by przynaglić opieszalszych lub osłabłych z wycieńczenia, posługiwał się kolbami karabinów, dziesiętnicy zaś zwyczajnym kijem zwanym na katordze "drynem." Bito bez litości zarówno symulujących niezdolność do pracy tzw. "fiłonów," jak też i upadających pod ciężarem pracy, chorych, wycieńczonych. Gdy jeden z więźniów padł pewnego razu bezsilny na śnieg i leżał bez ruchu, dozorca ze słowami: "no — na taki kawał nas nie weźmierz!" katowali go dotąd, aż jeden z nich zauważył:

— Patrzcie — no! Wszak on się nie rusza.

Istotnie nieszczęśliwy już się nie poruszył, gdyż był martwy.

Należy zaznaczyć, że zarówno konwój jak i dziesiętnicy składali się również z więźniów. Ten tryb postępowania miał oczywiście na celu zaskarżenie się przed władzą i uzyskanie pewnych ulg, względnie zmniejszenie terminu uwięzienia.

"Samoruby".

W jednej z izb barakowych był tzw. "okołodok" tj. ambulatorium dla przychodzących chorych. W razie pojawienia się obłożnie chorych tam też stawiano tapczany i lokowano nieszczęśników. Na czele tej instytucji stał "lepkom", tj. felczer. Jaka była jego wiedza medyczna — wyrokować trudno. Medykamenty, którymi rozporządzał składały się z jakichś proszków różowego koloru i dwóch rodzajów płynów. Były to środki wewnętrzne. Była też jodyna i jakieś szmaty, zastępujące bandaż. Codziennie przed wyjściem na roboty, po uderzeniu pierwszego dzwonu, przed drzwiami "ambulatorium" stała kolejka chorych, pragnących otrzymać zwolnienie od pracy. Zwolnienie i to na jeden dzień otrzymywało się jedynie przy

stwierdzeniu gorączki — co najmniej 38 stopni. Bóle reumatyczne (dość częste) lub inne choroby, przy których temperatura była normalna, nie zwalniały od pracy.

Doprowadzeni do rozpaczki ludzie dostawali pewnego rodzaju psychozy, która stawała się epidemiczna. Niezdolny do wykonania zadanej mu pracy, a wiedząc, co mu za to grozi, więzień w przystępie szału bezsilnej wściekłości kładł na pniu swą lewą rękę i obcinał siekierą palce, które rzucał w twarz dozorczy lub dziesiętnikowi, krzycząc: "Masz, potrzebne wam moje ręce robocze, więc sam czynię siebie niezdolnym do pracy". Zdarzały się wypadki, że szaleńcy odrabiali całą kiść lewej ręki. W lesie przy robocie nie było pomocy lekarskiej nawet takiej, jaką mieliśmy w obozie, w barakach. Toteż broczący krwią więzień własnymi szmatami od swej bielizny przywiązywał ranę i wracał do obozu.

Ponieważ wracający z lasu winien posiadać przepustkę, dziesiętnik na ciężkim kłocu drzewa, z którego toporem ścięto korę, wypisywał przepustkę ołówkiem chemicznym, i ranny, dźwigając na ramieniu ów kłoc-przepustkę wracał do obozu, mdlejąc z bólu, zmęczenia i upływu krwi.

Olbrzymia większość owych, jak ich zwano "samorubów", ginęła od zakażenia.

Strajk.

Dni odpoczynku bywały co druga niedziela, tj. dwa razy na miesiąc. Lecz i owa "niedziela odpoczynku" nie była całkowicie wolna od pracy. W dni odpoczynku bowiem wykonywano roboty obozowe, więc: wywożenie na brzeg morza nagromadzonego na terenie obozu śniegu, czyszczenie ustępów itp. Były to jednak roboty o wiele lżejsze od leśnych i przy zgodnym wysiłku wszystkich kończyły się dość wcześnie.

Lecz oto upłynęła jedna z takich niedziel, które bywają wolne od pracy, a administracja pognała wszystkich na roboty do lasu. Zaczęło się ciche szemranie. Gdy po dwóch tygodniach znowu odgosem dzwonu zbudzono nas o godz. 3 w nocy i uszykowano na podwórku do apelu, co oznaczało, że i teraz dnia wolnego mieć nie będziemy, — po szeregach przeleciały jakieś tajemnicze szepty, jakieś porozumienia oczyma, wiadać było z zachowania się tych mających przy świetle latarek cieniów jakąś powziętą już decyzję.

Większość więźniów na wyspie Miah stanowili kryminaliści — zbroje, złodzieje, aferzyści — i tylko zaledwie czwarta część składała się z tzw. "kaerów", tj. kontrrewolucjonistów, chłopów — "kułaków" (zamożniejszych włościan) i inteligencji.

Strajk został uchwalony przez więźniów kryminalnych. Ci ostatni z kontrrewolucjonistami nie chcieli się liczyć. Ich była większość, zresztą kryminaliści nigdy się nie liczą z politycznymi, mając ich za ludzi najbardziej gatunku i zowiąc ich w swym języku złodziejskim "frajerami".

Gdy przystąpiono do rozdawania narzędzi pracy, głuchy pomruk przeszedł po szeregach: "Nie pójdziemy!" Nie pomogły żadne perswacje. Gdy wszyscy

solidarnie odmówili wzięcia narzędzi, rozległa się komenda: "w prawo wzrot!" i rozkazano ruszać do lasu. Z złośliwym pomrukiem więźniowie ruszyli drożyną, wiodącą z obozu na miejsce robót. W ślad za nami podążały sannie, naładowane piłami i toporami. Kilku uzbrojonych w karabiny dozorców zamykało pochód.

W odległości 2 — 3 kilometrów od obozu na skraju lasu kazano nam stanąć. Z niepokojem zatrzymaliśmy się, nie wiedząc, co nam gotują. Już wśród więźniów politycznych rozpoczęły się ciche narady, szepty na temat, czyby nie warto zaniechać oporu. Rozumiano bowiem dobrze, że w razie rozdmuchania sprawy, cała odpowiedzialność spadnie na nich, kontrrewolucjonistów, ich będą winili za inicjatywę strajku, ich będą rozstrzeliwali za stawiany w obozie sprzeciw, kryminaliści zaś będą traktowani jako bierna masa, która rzekomo uległa agitacji kontrrewolucyjnej. Ten i ów z politycznych chętnieby poszedł do pracy, by nie ściągać na siebie represyj, lecz wstyd wobec stanowczej postawy towarzyszy-kryminalistów pchał ich razem z innymi na drogę oporu.

Wystąpił kierujący robotami starszy dziesiętnik i donośnym głosem zawołał:

"Kto pójdzie do pracy — brać narzędzia i przechodzić na prawo, kto nie chce pracować — cofać się w lewo i.... rozbiierać się!"

Z pochylonymi głowami, nie śmiąc podnieść oczu, jeden za drugim wychodzili z tłumu więźniowie polityczni, brali za siekiery i piły i przechodzili na prawo. Z pogardliwym skrzywieniem ust patrzyli na nich społem kryminaliści, rzucając z siebie na śnieg kurtki, spodnie, czapki, obuwie — i stając tylko w bieliznie.

Łamistrzejki ruszyli dalej do lasu, zziębnięte zaś postacie złodziei i opryszków dygotały na mrozie, śląc w ślad za odchodzącymi "frajerami", którzy ich zdradzili, przekleństwa i wyzwiska.

Dziwna ironia losu, dziwne przewartościowanie walorów! Polityczni łamią strajk i pokornie idą do pracy, kryminaliści zaś mężnie obstają przy swoim do ostatka!

Czy możliwa byłaby podobna scena w dawnej katordze carskiej?

W dawnej katordze kontyngent więźniów politycznych składał się z istotnych aktywnych wrogów istniejącego ustroju. Tutaj zaś tak zw. "polityczni" stanowili różnorodną zbieraninę, która nie walczyła i nawet nigdy nie miała zamiaru walczyć z ustrojem sowieckim, trafiała zaś tutaj, na katorgę, tylko jako należąca dawniej do klasy posiadającej, którą dziś "zwycięski proletariat" pragnie wyniszczyć fizycznie, zsyłając do więzienia, obozów, na zesłanie.

W dawnej katordze więźniowie polityczni w podobnych warunkach porwaliby za nagromadzone na saniami siekiery i roztrzaskaliby nimi łby swych ciemiężców — tutaj zaś dłonie niewolników pokornie wyciągały się po siekiery, by wykonać w lesie swój "akord", tak jak w parę dni później też same dłonie przyjmowały.... 20 kopiejkową (sic!) nagrodę za "wydajną pracę" w ów dzień krytyczny, nagrodę, wydaną z funduszy GPU....

Wikł.

W owe czasy karmiono nas stosunkowo nieźle: na śniadanie otrzymywaliśmy miseczkę fasoli, soczewicy, grochu, kaszy gryczanej lub gęstej zupy z makaronem. Takie danie było zwykle okraszone olejem. Na obiad zaś, który dla wielu zapóźnionych stanowił kolację, dawano nam miskę barszczu lub jakiejś zupy oraz kawałek gotowanego mięsa solonego, trochę większy od pudełka zapalek. Chleba (czarnego) otrzymywaliśmy po kilogramie na osobę. Ponadto w obozie był sklepik, gdzie za własne pieniądze mogliśmy kupować cukier, herbatę, konserwy, kiełbasę, śledzie, herbatniki, bułki, papierosy itp. Pieniędzy za pracę naszą nam nie płacono (z wyjątkiem wspomnianych wyżej 20 kopiejek nagrody za złamanie strajku), ci więc, którzy nie otrzymywali pomocy pieniężnej z domu, musieli się zadawać wiktem rządowym, który — należy to przyznać — głód zaspokoić był w stanie.

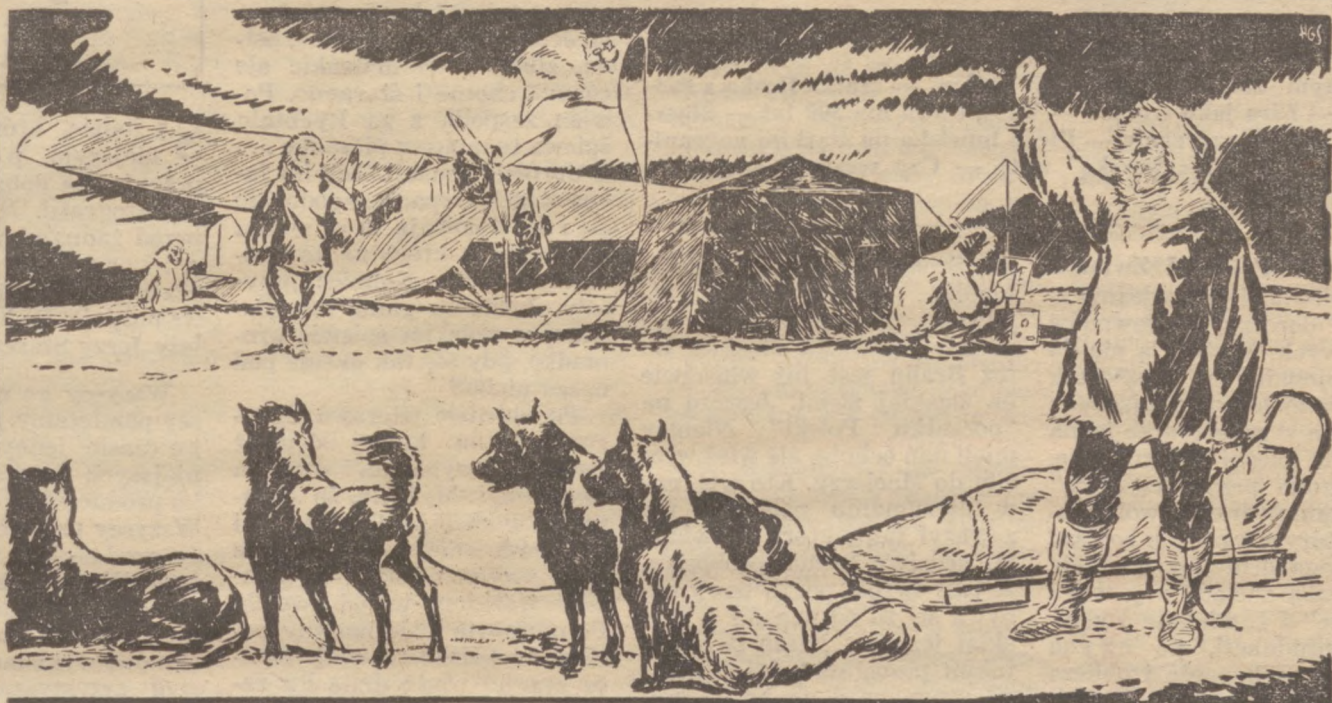
(Ciąg dalszy nastąpi)



Ziemianka. W takich to "apartamentach", w których niema wilgoci tylko w ciągu pełnego lata — gnieździ się ciągle jeszcze wiele tysięcy sowieckich rodzin robotniczych.



# ROSYJSKI PODBÓJ BIEGUNA PÓŁNOCNEGO



Samoloty przywiozły ekipunek i zapasy dla śmiałych uczonych sowieckich, którzy postanowili spędzić pod Biegunem cały rok, nie zważając na wielkie ryzyko życia i hazard pozostania w obozie na krze lodowej... Po lewej stronie: prof. Otto J. Schmidt, kierownik sensacyjnego lotu rosyjskiego do Bieguna Północnego.

**K**IEDY niedawno pierwszy samolot sowieckiej wyprawy podbiegunowej osiadł na olbrzymiej krze lodu Bieguna Północnego, a za pierwszym parę dni później trzy inne, wiadomość o tym spowodowała radosne celebracje w całej Rosji Sowieckiej.

Sensacyjność tego dokonania nie polegała na samym dotarciu człowieka do środka północnej strefy arktycznej. Inni byli tam wcześniej. Peary dotarł tam około 30 lat temu wstecz. Byrd, Amundsen, Nobile i inni latali nad Biegunem. Rząd sowiecki nie powziął też wyprawy w celu dokazania sztuki samego dotarcia do czubka ziemi.

Ostatni lot do Bieguna, gdzie garstka ludzi pozostała na cały rok, jeżeli się uda, jest jednym więcej posunięciem we wspaniałym planie podboju Oceanu Lodowatego i ujarzmienie go do użytku ludzi.

To był cel, który pragnie osiągnąć Rosja przez założenie obozu na Biegunie. Obserwacje naukowe przez cały rok dostarczą wiele tajemnic z tej "kuchni powietrznej," gdzie się gotują burze północne. Ustala one także, czy transpolarna komunikacja powietrzna z Ameryką przy pomocy samolotów może liczyć na powodzenie przy wyzyskaniu wybrzeży północnej Syberii obszarów lodu pod Biegunem.

Na czele śmiałej ekspedycji znajdował się prof. Otto J. Schmidt. Czterech ludzi, którzy tam pozostali, to Iwan Papanin, swego czasu dyrektor polarnej stacji obserwacyjnej na wyspie Ziemi Józefa Franciszka; Ernest Krenkel, operator radiowy, były członek ekspedycji Byrda w roku 1930ym do Antarktyki; Pytor Szyrrow, wodo-biolog, i Eugeniusz Dedorow, magnetolog.

Ekspedycja z czterech samolotów złożona i przygotowana do lotów arktycznych, pozostawiła potrzebny ekipunek, zapasy żywności dla czterech śmiśków i uczonych.

Wyprawa ta należy niewątpliwie do ryzykownego przedsięwzięcia, chociażby ze względu na znany fakt, iż lody polarne załamują się bez żadnego ostrzeżenia i tworzą kry. Uczniowie sowieccy powzięli jednak to ryzyko jako część dawno przygotowanego planu.

Najpotężniejszym przedsięwzięciem jest więc podbój Rosyjskiego Arktyku —długo lekceważonej "Alaski" Starego Świata.

**J**EDNO spojrzenie na atlas handlowy Azji wykaże sposobności, możliwości, zagadnienia i trudności tego podboju. Azja rosyjska składa się przeważnie z olbrzymiego płaskowzgórza, raczej stoku pochylonego ku Oceanowi Lodowatemu. Południowa część składa się głównie ze stepów i pustyń, zamieniających się powoli w kierunku północnym w największe na świecie lasy dziewicze o wiecznej zieloności (drzewa iglaste), a te na dalszej mecie znów przechodzą stopniowo w szare niegospodnie niskie zarośla arktyczne i trawy znane jako tundry.

Przez to wszystko, z południa ku północy, spływa kilka potężnych rzek: Ob, Jenisiej, Chatanga, Lena, Kołyma i szereg innych. Rzeki te mogłyby służyć jako idealny spław kłoców drzewa do

morza najtańszym rodzajem transportacji w świat, odczuwający coraz większy głód drzewa budulcowego i drzewa na papkę papierową. Byłyby one idealnymi drogami do morza, gdyby to morze nie było Oceanem Lodowatym, tradycyjnie jedną szeroką wodą na świecie zabronioną dla okrętów.

Ale nowymi wysiłkami Rosji jest docieranie tam z gromadą okrętów handlowych i wydostanie się stamtąd w czasie otwartego sezonu na Oceanie Lodowatym, tudzież sprowadzenie tam kolonistów i zapasów w celu wydostania drzewa budulcowego, rud mineralnych, oraz innych cennych surowców i produktów tego kraju.

Ambitne podwaliny, założone do tej pory, były niedawno opisane przez bezstronnego obserwatora, H. P. Smolka, geografa wiedeńskiego, przypadkowo nie-komunisty, na zebraniu członków Royal Geographical Survey w Londynie.

Dla żeglugi morskiej po wodach północnych punktem wyjściowym jest obecnie Murmańsk, port na wybrzeżu w pobliżu granicy fińskiej. Dziwnie jakoś, Murmańsk, port na wodach Oceanu Lodowatego, jest jedynym portem rosyjskim wolnym tam od lodów przez cały rok. Podobno odnoga cieplejszego prądu powoduje to zjawisko.

Nieco odmiennie od Murmańska przedstawiają się miasta założone przy ujściach szerokich rzek, płynących przez Azję ku północy: nad Obem, Jenisiejem i Leną. Tam przybywają tylko w sezonie parowce po ładunki drzewa; znajdują się tam urządzenia przeładunkowe i tartaki do obróbki drzewa. Miasta nazywają się: Nowy Port przy ujściu Obu, Port Igarka nad rzeką Jenisiejem i Port Tiski nad ujściem Leny.

Z tych trzech osiedli Port Igarka jest największym. Ludność jego —w przedstawieniu p. Smolka—dochodzi do 14 tysięcy osób, łącznie z parą tysiącami dzieci. Około czterech tysięcy miesz-

kańców stanowią tak zwani kułacy —zamożniejsi chłopcy rosyjscy, którzy oparli się płaceniu podatków i sowieckiemu programowi kolektywizacji gospodarstw rolnych.

**N**IE rosząc sobie pretensji do znajomości rzeczywistych warunków z przed kilku laty, kiedy ci kułacy byli rzekomo traktowani jak najgorzej —według niektórych źródeł informacyjnych—p. Smolka uczynił o ich obecnym położeniu oświadczenie następujące:

"Teraz otrzymują oni normalne wynagrodzenie za swoją pracę w Igarka, i powierzchownie mogą być z trudnością odróżnieni od zupełnie wolnych robotników. Mieszkają też drzewi w drzewi obok siebie..."

"Dzieci ich szybko przystosowują się do nowego otoczenia. Uczęszczają do szkół razem z dziećmi wolnych robotników, a gdy dochodzą do lat 18tu, obdarzani są pełnymi prawami politycznymi i pozwala się im nawet wstępować do organizacji komunistycznych, co jest pewnym przywilejem w Rosji.

"Samym kułakom są przywracane prawa cywilne i udzielane są im paszporty, jeżeli, po szeregu lat, władze zadecydują, iż pracowali rzetelnie i wykazali zainteresowanie produkcją fabryk, a ogólnie dali dowód swej "dekulakazacji."

Drzewo, oczywiście, nie stanowi wyłącznego bogactwa i eksportu portów arktycznych, chociaż stanowi wciąż główny produkt. W niektórych miejscach odkryto rudy metalów i przystąpiono do prac kopalnianych, szczególnie niklu, ze względu na jego znaczenie dla olbrzymiego programu zbrojeń sowieckich. Węgiel znajduje się blisko powierzchni i wydobywany jest przeważnie dla uzupełnienia paliwa okrętów, przybywających po ładunki, jak i łamaczy lodów, otwierających im drogę gdy zachodzi potrzeba.

Żegluga wzdłuż północnego wybrzeża syberyjskiego przedstawia bardzo trudne zadanie, gdyż kry lodowe i lody są zawsze groźnym niebezpieczeństwem dla statków. Najlepszym rozwiązaniem tego problemu są samoloty na założonych bazach nadbrzeżnych. Kiedy parowiec się zbliża i podaje kierunek przez radio, stacje lotnicze informują go o sytuacji lub samoloty zrywają się w powietrze i wyszukują wolnej drogi między pływającymi krami.

Znajduje się tam nawet w prospekcie przemysł turystyczny. Oficjalna sowiecka agencja prasowa Tass oznajmiła już o pierwszej turze, rozpoczynającej się w sezonie z Murmańska, wokoło najciekawszych punktów zainteresowania —Nowej Ziemi, kończącej się w drodze powrotnej w Archangielsku.

**P**AN Smolka rzucił jeszcze sugestię dalszej możliwości zużytkowania drogi północnej. Na wypadek wojny europejskiej i zabutelkowania Rosji w jej granicach lądowych, parowce być może będą mogły przedrzeć się w sezonie brzegiem Oceanu Lodowatego ku Cieśninie Beringa, a stamtąd skierować się wzdłuż wybrzeży pod flagą amerykańską i angielską po potrzebne materiały do Stanów Zjednoczonych i Kanady.

W drodze powrotnej ich ładunki mogą być przesłane po jednej z dużych rzek syberyjskich do Nowosybirsk czy Omska przy Transsyberyjskiej Kolei. Byłaby to prawie całkiem zabezpieczona droga przed pociskami armatnimi i bombami, przynajmniej dla najbardziej niezbędnych materiałów jak pewne leki i zapasy szpitalne, oraz poszukiwane metale.

Jednym z najciekawszych osiągnięć w sowieckich przygodach w strefie arktycznej, uderzającym obcego przybysza, jest hodowla warzyw na Dalekiej Północy. Do tej pory z powodzeniem osiągnięto tam na otwartym polu hodowlę jarzyn sałatkowych jak rzodkiewka i kapusta i (z mniejszymi rezultatami) kartofle. Nadto, ze względu na obecność pokaźnej liczby koni i krów zachodzi konieczność posiadania odpowiednich łąk i siana.

Jednym z przyjaznych czynników dla roślinności, z czego wielu w innych stronach nie zdaje sobie sprawy, jest bardzo długi dzień w lecie w okolicach arktycznych i pod-arktycznych. Warzywa i trawa na łąkach ma światło słoneczne przez 24 godziny na dobę przez większość okresu swego wzrostu. Naturalnie wszystko też rośnie szybko i duże.

Czasami specjalne gatunki udają się w tym klimacie. Kiedy, na przykład, zasadzono tam w jednej okolicy wielkie białe rzodkiewki rosyjskie, tak pożądane na Północy, wyrosły one w olbrzymie liście, wydając bardzo mały, cienki, wprost znikomy korzeń. Ale genetyści pracują bezustannie i żywią nadzieję, że ich wysiłki wyprodukują przy długim dniu arktycznym rzodkiewki wielkości ludzkiej nogi.



Widok surowego, nowozbudowanego miasta przez Wuję Sama w własnej Alasce—widok Khibinogorska na półwyspie Kola.



# SZTUKA - MUZYKA - TEATR

## W Bralinie Śpiewają

(Z wędrowki po Wielkopolsce)

Dorocznym szlakiem pieśni — W "salce" — Matka Boska z Półka — Lira jako wotum — Wieś, która ma 800 lat — Śląszczyzna i mazurzenie — Pieśń lubelska na śląskim pograniczu — Na "racyborską" nutę — Czy wszyscy znamy to wszystko?

**W**IELKOPOLSKI Związek Śpiewacki jest właśnie w okresie dorocznych zawodów okręgowych. Zjeżdżają się do prowincjonalnych miasteczek chóry wiejskie i miejscowe; każdy ma w repertuarze jedną lub dwie pieśni konkursowe, wyznaczone przez "centrale" w Poznaniu, oraz dowolny utwór, którym może się popisać przed współdruhami. Komisja sędziowska zasiada z powagą w "salce" i sumiennie wysłuchuje produkcji, po czym punktuję wykonanie i oblicza wyniki. Ile to nadziei dla chóru trzeciej, najniższej kategorii! A nuż uzyska tyle punktów, że w rezultacie przeniosą go do drugiej, bardzo już zaszczętej grupy śpiewaków... Po południu odprawa dyrygentów i uroczyste "Święto Pieśni" z udziałem wszystkich chórów, władz miejscowych i licznych słuchaczy z miasteczka, a nie rzadko ze wsi.

W takiej właśnie wsi, tuż nad granicą niemiecką i śląską, w Bralinie pod Kępem, znalazłem się ubiegłej niedzieli. Okręg kępiński jest w numeracji Związku siódmym i postanowił tego roku urządzić zawody nie u siebie lecz w małej wiosce. Do zawodów stanęło z okolicy 17 chórów i dwa poza konkursem. Skromnie obliczając — słyszałem tego dnia około 600 śpiewaków.

Wyjeżdżamy autem z Kępna; przez rynek nadgranicznego miasteczka raz w raz przeciągają drabiniaste wozy, umajone zielenią i pełne śpiewaków. Jedziemy doskonałą szosą, idącą na zachód w stronę Sycowa ("Gross Wartenberg"); niebo, zasunięte zwaltem niskich chmur nie zapowiada na dziś upału. Przez okna samochodu widzę daleko w stronie Ostrzeszowa płowe pasmo wysokich wzgórz: to dalszy ciąg Kocich Gór. Mijamy Półko — każdy wie, że tu na szczerym polu, w kępie drzew, drzemie stary kościółek z cudowną Matką Boską. Chodzą do Niej pielgrzymi z daleka, aże ze Śląska i z Niemiec, głównie w lipcu, na Matkę Boską Szkaplerzną. Dziś zawieszają śpiewacy z kępińskiego okręgu pod obrazem własne wotum dziękczynne, ufundowane z groszowych składek: złotą lirę na srebrnej blasze.

Miga przed nami wysoka wieża kościoła w Bralinie. To tu; mijamy powitalną bramę z hasłem śpiewackim: "Cześć pieśni". Bralin, to dziś wieś gromada. Liczy około dwóch tysięcy mieszkańców a w ubiegłym roku obchodził... 800-lecie istnienia. Na podługowatym "rynku" setki drухów i drухów ze sztandarami i odznakami. Zaraz pochód ruszy do kościoła.

Ślicznie bieli się czworogranna wysoka wieża i czerwony dach wśród zieleni rozłożystych lip. Wokoło cmentarz; czytam nazwiska obywateli bralińskich: Orszulok, Długosz, Lewek. Przed kościołem pomnik poległych w czasie wojny światowej, wymurowany z polodowcowych granitów. I tu także tablica z nazwiska-

mi: Sroka, Kurzawa, Penerok, Londa... nie ma żadnej wątpliwości, przecież to rodowicie polskie nazwiska śląskie. Bo też Bralin jest już właściwie na śląskiej ziemi. Jeszcze na "początku Polski" Niemcy mieli nań ochotę, ale wieś wróciła do Macierzy. Kto wie, czy w utrzymaniu polskości nie zaważył fakt, który opowiada mi sędziwy ksiądz proboszcz, że cały rytuał pogrzebowy odbywa się tu od wieków w polskim języku. Niech po wieki takim pozostanie, jeśli potrafił przygarnąć do bralińskiej "gromady" rodaków z okolicy.

Mają tu własną, śląską mowę z kilku nalogami "mazurzenia". Mówi nią zasłużony kierownik szkoły i zarazem muzyk-amator, taki, co to jeszcze uczył się chyba w niemieckim seminarium harmonii, pan Stanisław Kutzner. — Zbiera on ludowe pieśni z okolicy; wyręcza w tym profesora Kamińskiego, który, jak słyszę, jeszcze tu nie zawitał. A warto, choćby już z tego sądząc, co chór mieszany z Bralina śpiewał na zawodach. Podobno Polskie Radio urządzi z tej ciekawej wsi transmisję na całą Polskę w dniu 12 września. Posłuchamy! Otworzono uroczyste Zjazd; przemowy, śpiewy, powitania.

Zawody w pełnym toku. Wszystkie chóry trzeciej kategorii śpiewają tę samą pieśń z lubelskiego w opracowaniu Tadeusza Mayznera: — "Oj,

świeci miesiąc, świeci, gwiazdy pomagają..." Taki też cytat melodyjki wisi na jednej z bram triumfalnych przed salą. Jedne zespoły są liczne, pełne, silne; inne małe, ale równie chętne i staranne. Pewien zespół z za Rychtału śpiewa tę molową piosenkę... w durowej tonacji. Tak im jakoś w ucho wpadło, spodobało się i tak śpiewają. A są w nim dziewczyny, które na tę uroczystość aż z Niemiec przysły. Jakże tu ganić rozmiłowaną w polskim śpiewie gromadkę, gdy się tak garnie pod nasze niebo?

Po obiedzie odprawa dyrygentów, na której delegat Związku "wygarnia" druhom swe uwagi. Myślicie, że się urazili? Podziękowali szczerze i tak serdecznie, jak serdeczne były "wygarnięcia" — przecież jesteśmy wśród swoich. Po odprawie idzie barwny pochód na boisko za wieś. Słońce grzeje, wiatr dmie ku zachodowi; zaniesie tam, nad Odrę, dźwięki pieśni, że "...Polskę pragniemy silną mieć, mozną, bogatą, szczęśliwą..." jak w swym hymnie powiada Stanisław Niewiadomski, który napisał i muzykę i słowa "Hymnu młodzieży polskiej".

W rytmy naszej pieśni wdziera się gwizd pociągu; muszę już, niestety, odjeżdżać do Poznania, ale wciąż patrzę ku zachodowi i słucham tonów miejscowej "racyborskiej" piosenki. Tegiem życiem pulsuje nadgraniczna i prawie już śląska wieś o osiemsetletniej tradycji. Czy dokładnie znamy Wielkopolskę, czy wiemy o niej wszystko?

### PIĄTA MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA FILMOWA

Piąta międzynarodowa wystawa filmowa odbędzie się w Wenecji w dniach 20-go do 30-go sierpnia, połączona z konkursem, wyposażonym w 12 nagród.

### Blondynki Dzierżą Palmę Pierwszeństwa



Dorothy Jean Sevier

Widocznie, że blondynki stale mają więcej adoratorów aniżeli brunetki lub miedzianowłose, gdyż uroczą Dorothy Jean Sevier z Hot Springs, Ark., wybraną została królową piękności na uniwersytecie Arkansas.

## Propaganda Polskiego Filmu w U. S. A.

**S**A ludzie, którzy z największym poświeceniem pracują dla dobra polskiej kinematografii. Nie cofając się przed żadnymi przeciwnościami, uparcie posuwają się naprzód, zdobywając coraz to nowe pozycje. Do ludzi takich należy Jerzy Starczewski.

Wszyscy go znamy i wszyscy pamiętamy jak był w swoim czasie jednym z popularniejszych na stołecznym rynku producentów filmowych. — Wszyscy pamiętamy filmy jego produkcji, a reżyserii Wiktora Biegańskiego. — "Za zdróż", "Ochleń Pokuty" i "Bożyszcze" — oto tytuły tych filmów, wykonanych przez zespół artystyczny "Kino-Studio", którego administracyjne i handlowe kierownictwo spoczywało w rękach J. Starczewskiego. Odległe to czasy, a jednak pamiętamy to.

Starczewski zdala teraz od Polski i Warszawy przebywa, ale z polską produkcją filmową nadal związany jest serdecznymi, nierozdzielalnymi węzłami.

Od 1932 roku przebywa w Nowym Yorku, prowadząc tam eksploatację filmów polskich najpoważniejszych naszych wytwórni w kinoteatrach, licznie rozsianych na rozległych obszarach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanady. Teraz n. p. Starczewski eksploatuje na drugiej półkuli prawie wszystkie czołowe filmy produkcji polskiej przedostatniego i ostatniego sezonu. "Jadzia", "Trędowata", "Bolek i Lolek", "Manewry Miłosne", "Straszny Dwór", "Pan Twardowski" i produkcje Biura Filmowego P. A. T., którego posiada generalną na Amerykę reprezentację wędrującą po ekranach Ameryki i Kanady.

O działalności Starczewskiego w Ameryce nieraz już pisaaliśmy na łamach naszego pisma. Teraz znów osobę jego musimy przypomnieć naszym Czytelnikom, bo Starczewski pracuje i to pracuje owocnie. Ostatnio na przykład założył własną w Nowym Yorku placówkę p. n. "Centrala Eksploatacji Polskich Filmów w Stanach Zjednoczonych A. P. i Kanadzie". Placówka ta rozwija się niezwykle pomyślnie, obsługując już dziś nie tylko kina polskie, przez naszych rodaków zza Oceanu odwiedzane, ale i kinoteatry amerykańskie, a wśród nich i wytworne ekrany Broadway'u.

Zasługi Starczewskiego dla propagandy polskiej kinematografii są naprawdę niepowściągliwe. Nietylko zapoznaje on z polską produkcją filmową naszych tam zamieszkałych rodaków, ale i skutecznie krzewi propagandę sztuki polskiej wśród obcych.

To też zarówno narodziny, jak i pomyślny rozwój nowej placówki Starczewskiego witamy ze szczerą radością, życząc jej jak największych sukcesów. Nieoficjalny ambasador Filmmi Polskiej, jakim na gruncie amerykańskim jest Starczewski, w zupełności na to zasługuje. Życzenia nasze nie są odoosobnione. Stanowią one wyraz nastrojów całej polskiej branży filmowej, która

Starczewskiemu wiele ma do zawdzięczenia.

Jeszcze na jedno zwrócić musimy uwagę. Powstanie placówki Starczewskiego, a zwłaszcza dalszy jej rozwój niewątpliwie uzdrowi eksport naszych filmów na rynek amerykański, a co najważniejsze ukróci zupełnie na tamtejszym terenie "dziką" poprostu eksploatację wielu starych i niektórych nowych filmów polskich, eksploatację niszczącą nasze tam możliwości i dezorganizującą wszelkie w tej dziedzinie poważne i solidne poczynania.

Bogatego rynku amerykańskiego stracić dla naszej ekspansji filmowej nie możemy. Przeciwnie musimy tam pozycję polskiej produkcji filmowej wielokrotnie wzmocnić. — Pamiętać o tym muszą przede wszystkim nasi producenci w solidne, pewne i niezawodne ręce Starczewskiego oddając eksploatację swoich, godnych amerykańskich ekranów, filmów polskich. Pamiętać o tym powinni, tym więcej, że pamiętać mogą nie z sentymentu wyłącznie, a raczej przez wzgląd na swój własny dobrze zrozumiany interes, przez wzgląd na prosty rachunek handlowy, który przy współpracy Starczewskiego nie zna strat, a daje oczywiste i poważne zyski.

To też przyjazd naszego rodaka do kraju, który nastąpił w czerwcu r. b. niewątpliwie wyjaśni ciemne dotychczas w wielu wypadkach momenty eksportu filmów polskich na rynek amerykański, momenty tej "dzikiej" tam ich eksploatacji.

### Chińska Gwiazda Filmowa



Setsuko Hara, chińska gwiazda filmowa, przybyła do Stanów Zjednoczonych.



# Cambridge Springs w Historji Armji Polskiej

Napisał F. W. Dziób

(Z Pamiętnika Jubileuszowego Kolegium Z. N. P.)

Kolegium Z. N. P. w Cambridge Springs, Pa. ma olbrzymie zasługi na polu wychowania młodzieży polskiej na wychodźstwie. O tym — z okazji 25-cio lecia na pewno będę pisać inni w tym pamiętniku. Ja zaś — korzystając z zaproszenia Komitetu Redakcyjnego — chciałbym przypomnieć społeczeństwu naszemu jedną wielką zasługę tej pięknej instytucji, zasługę, o której — nie wiem z jakiego powodu — bardzo mało się mówi a jeszcze mniej się pisze. A sprawa jest naprawdę ważna i — jako taka powinna być zapisana w historii Kolegium wyrażnymi głoskami — przeszłości na cwał, przyszłości na przykład i pożytek. Mam tu na myśli rolę, jaką Kolegium odegrało przy tworzeniu najpiękniejszego czynu wychodźstwa — Armii Polskiej z Ameryki. Nie wszyscy może wiedzą — i tym właśnie chcę powiedzieć, a niektórzy może już zapomnieli i tym chcę przypomnieć, że zaczątki, podwaliny i podstawy tej Armii tworzyły się w Cambridge Spring, przy bardzo wydajnej i owocnej w dobre rezultaty pomocy Kolegium Z. N. P.

W roku 1914-tym, w miesiącach maju i czerwcu, w Kolegium w Cambridge Springs miał miejsce pierwszy na większą skalę sokoli Kurs Wojskowy, przy udziale przeszło 60-ciu uczestników z całej Ameryki. Instruktorami na kursie byli: Witold Ryłski, ówczesny naczelnik Sokolstwa a zarazem kierownik kursu, późniejszy pułkownik Armii Polskiej — umarł po wojnie w Ameryce; Jan Bartmański, późniejszy pułkownik Armii Polskiej, zginął w akcji w wojnie z bolszewikami; Stanisław Flackiewicz, komendant sokolich Drużyn Wojskowych o-

kregu new-yorskiego — nie wiem co się później z nim stało. Wszyscy trzej oficerowie armii austrackiej. To też kurs przez nich prowadzony był wojskowym w całym tego słowa znaczeniu. Studenci Kolegium w owym czasie zapewne pamiętają te musztry, ćwiczenia karabinami, manewry nocne, ostre strzelanie, kopanie rowów strzeleckich, alarmy nocne i inne podobne historie wojskowe. Niektórym się one podobały i zaszczepiały w nich ducha wojskowego inni mieli wątpliwości czy to się kiedy i na co przyda. Jak później okazało się, ci ostatni byli w błędzie, a z pierwszych wielu poszło na wojnę w przekonaniu, że w ten sposób pomogą Polsce w odzyskaniu niepodległości.

To była techniczna strona kursu, na którą Kolegium jako takie — poza tym że nam udzieliło prawdziwie polskiej gościnności — nie miało wpływu. Ale zbawienny wpływ Kolegium okazał się gdzie indziej. Ówczesnym Rektorem Kolegium był czcigodny prof. Romuald Piątkowski. Wszyscy jego b. uczniowie wiedzą jaki wpływ ten idealny wychowawca wywierał na wszystkich z którymi się zetknął. Wpływowi temu nie oparli się również i uczestnicy Kursu Wojskowego. Odczyty, pogadanki, osobiste rozmowy, a szczególnie te sławne wspólne zebrania w sali teatralnej, gdzie — razem z wszystkimi — słuchaliśmy cudownych pieśni polskich, śpiewanych przez wspańiały i niezwykle chór, składający się prawie ze wszystkich studentów i gdzie z ust lubianego przez wszystkich Rektora słyszeliśmy tyle pięknych nauk, rad, wskazówek życiowych, a przede wszystkim zachęty do usilnej, szczerzej i bezinteresownej służby Sprawie Polskiej. Wpływ ten gruntował w nas przekonania, że Kurs Wojskowy nie jest bawieniem

się w żołnierzy, ale jest robotą poważną, której celem — walka o wolność Polski. Nie też dziwnego, że uczestnicy Kursu, wróciwszy do swych stron, stali się pełnymi zapału propagatorami Drużyn Wojskowych, które później były zaczątkiem — Armii Polskiej z Ameryki.

To było w roku 1914-tym, nie długo przed wybuchem wojny światowej. W r. 1917 kiedy stało się już możliwym tworzenie wychodźczego czynu zbrojnego, Cambridge Springs zapisało się już zupełnie wyraźnie jako kolebka Armii Polskiej z Ameryki. Sokolstwo Polskie w Ameryce, orientując się dobrze w sytuacji, zrozumiało, że nadszedł już właściwy moment. Postanowiono zorganizować szkołę Wojskową, której celem miało być przysposobienie kadr oficerskich dla przyszłej Armii Polskiej z Ameryki.

I znowu wybrano — Cambridge Springs. Ale nie miał to być tylko kurs jak w roku 1914-tym, ale Szkoła Wojskowa, obejmująca wszystko, co wiedzieć i umieć powinien przyszły oficer i podoficer Armii Polskiej. Mnie, jako ówczesnemu naczelnikowi Sokolstwa a zarazem komendantowi Szkoły, przypadł w udziale zaszczyt i trud — zorganizowania Szkoły. Zaszczyt wielki, ale i trud nie mały. Trzeba było kręcić bicze z piasku. Nie było wystarczających funduszy, nie było instruktorów, dostatecznego pomieszczenia. Było tylko dużo zapału i wiara w powodzenie dobrej sprawy. Uczniowie dopisali, mimo że przyjeżdżali przeważnie na własny koszt utrzymania na czas pobytu w Szkole.

Na pomieszczenie Szkoły i uczniów wynajęliśmy hotel Turner, tuż u stóp kolegiálnego Akropolu. Oficjalne otwarcie Szkoły nastąpiło w dniu 19 marca, 1917 roku. Uczniów zgłosiło się na początek przeszło stu. A tu ani dostateczne

go umeblowania, ani przyborów, ani zaprowiantowania, ani opału, ani wielu innych rzeczy wprost niezbędnych. Po ratunek, jak w dym, walę do Kolegium, do przeznaczonego zarządcy p. M. B. Stęczyńskiego. Wysłuchał, pokiwał głową, ręce do góry podniósł w podziwie nad lekkomyślnością ludzką, która z niczego chce tworzyć wielkie rzeczy, trochę mi namyślał, ale odrazu spostrzegłem, że sprawie jest przychylny i pomoże, co tylko będzie w jego mocy. I tak się też stało. Znalazły się i pościel i meble i kredyt na prowianty, na opał, na oświetlenie. Z biegiem czasu, gdy tworzenie Armii stało się już faktem, kłopoty powiększyły się pięciokrotnie, bo liczba uczniów doszła do blisko pięćset. Niestrudzony p. Stęczyński na wszystko znalazł sposób. Brakło miejsca w hotelu Turner, umieszczono uczniów w budynku kolegialnym. Kuchnia okazała się za małą, odstąpiono nam kuchnię kolegiálną, pralnię i inne urządzenia — wszystko oddano na użytek Szkoły Wojskowej. W spieszeniu nam z pomocą dzielnie sekundował p. Stęczyński sekretarz p. Bobrzecki, późniejszy oficer Armii Polskiej, za waleczność odznaczony krzyżem Virtuti Militari.

Za przykładem rozumiejącego tak dobrze polski obywatelski obowiązek Zarządcy poszedł również Fakultet. Przybyli oficerowie i podoficerowie Armii Polskiej z Ameryki musieli posiadać potrzebne wiadomości wiedzy ogólnej, wiadomości im było brak nie z ich winy, ale z powodu warunków i okoliczności w jakich wyrosli. A więc tu zrodzonych, słabych w języku polskim, uczył prof. Popiel, który również wykładał historię i literaturę polską; rysunków, terenoznawstwa, topografii uczył prof. E. Kruszką; historii polskiej profesor E. Dolewczyński; geo-

grafii i języka angielskiego prof. W. Dybowski; sztuki pięknej pisanie prof. Asenko. Ówczesny student Kolegium p. Edward Albin był oficjalnym tłumaczem Szkoły i jej korespondentem do pism angielskich.

Wszyscy wymienieni pomagali Szkole Wojskowej często z wielkim poświęceniem i dużym trudem, bo — wiadomo — wśród naszych uczniów był rozmaity materiał, a niektórzy — jak mawiał zacny prof. Popiel — „za długo mieli swój umysł na wakacjach”. Mimo ciężkiej pracy profesorowie jednak nie narzekali, bo wiedzieli, że pracują dla dobrej sprawy. To też wszyscy uczniowie „Szkoły Podchorążych” z wdzięcznością zawsze wspominali Cambridge Springs. Dało ono im bowiem takie podstawy w późniejszej służbie wojskowej, że górowali nad innymi, często nad zawodowymi oficerami i podoficerami armii, a ogólnie byli uważani za najlepszych instruktorów wojskowych. Zawdzięczałi to nie tylko wiadomościom wojskowym, ale w dużej mierze i wiadomościom wiedzy ogólnej, jakie nabyli od profesorów Kolegium Związkowego.

Nic więc dziwnego, że o Cambridge Springs wiele mówiono i w okopach w Szampanii i w poszczególnych obozach we Francji i Polsce i na Ukrainie. A zawsze jaknajlepiej, z wdzięcznością, mile, a często również wspominając czas tam spędzony, poszczególnych ludzi, rozmaite zdarzenia i wypadki.

Jak więc widzimy Kolegium Z. N. P. było ważnym czynnikiem przy tworzeniu Armii Polskiej z Ameryki, bo pomogło do wyszkolenia około pięćset oficerów i podoficerów, którzy później stanęli na czele 30-tu tysięcy ochotników, jakich Polonia Amerykańska posłała do walki o wolność Polski.

## Franklin Delano Roosevelt Jr. — Ethel Du Pont



Franklin D. Jr., and Ethel duPont

The Rev. Endicott Peabody

Christ P. E. church, Wilmington, Del.

Do najwybitniejszych ślubów zawartych w miesiącu czerwcu należy ślub Franklina D. Roosevelta, syna prezydenta Stanów Zjednoczonych z panną Ethel Du Pont, córką E. Du Pont'a z Wilmington, Del. Jako miejsce ceremonii ślubnej młoda para wybrała kościół "Christ

F. E." Przyjęcie gości po ślubie zaaranżowane zostało w domu rodziców panny młodej "Owl's Nest" w Greenville, w pobliżu Wilmington. Zaszczyt połączenia obłubieńców przypadł ks. Endicott Peabody, kierownikowi szkoły Groton.

## Ostatni Żyd Odchodzi...

Pisma liberalne czeskie notują w łzawym tonie dymisję, jaką otrzymał kapelmistrz berlińskiej Staatsoper, Leon Blech. Był on ostatnim żydem, jaki ostał się po hitlerowskim przewrocie w personelu tej opery. Zawdzięczał to zarówno osobistej protekcji Hermana Goeringa, jak względem artystycznym, był bowiem bardzo dobrym kapelmistrzem, jak wreszcie długoletniej służbie, pracował bowiem na tym stanowisku 31 lat, od r. 1906. Usunięcie go umotywowano ostatecznie "przekroczeniem granicy wieku". W ostatnich latach nie dawano mu już dyrygować oper niemieckich. Prowadził tylko obce, w tym i czeskie.

## Poe Na Ekranie

Jest rzeczą zdumiewającą, że Edgar Allan Poe musiał czekać tak długo na "zeksanowanie". W Hollywood reżyser Nick Grinde zaczyna nakręcać jedną z jego fantastycznych opowieści, której tytuł jest jeszcze trzymany w tajemnicy, aby potem zrobić większe wrażenie. Można tylko się domyślić, że odnośna nowela ma za tło inkwizycję hiszpańską — może więc to być albo "Studnia i waha-dło", albo "Ucieczka".



# WRAŻENIA Z ŚWIATOWEJ WYSTAWY W PARYŻU

W PRASIE ostatnio, ukazało się mnóstwo artykułów i notatek, poświęconych Wystawie paryskiej — „expo” (exposition) — jak nazywają ją w skrócie nad Sekwaną. W pokłosiu tem sporo było spostrzeżeń trafnych — nie brakowało jednak i zdań dyktowanych poprostu żółcią, uprzedzeniami politycznymi, a nawet i wyraźną niechęcią, skierowaną li tylko ku rządowi Frontu Ludowego — podczas gdy Wystawa, przygotowana wysiłkiem rządów p. Doumergue’a i p. Laval’a, a zrealizowana już w znacznej części obecnie, stanowi bez najmniejszej wątpliwości dorobek wspólnych zamierzeń całej Francji współczesnej, bez różnicy tej czy owej etykiety partyjnej.

Jeżeli chodzi o sąd bezstronny, to okres rządów czerwonych zaważył raczej ujemnie na całości kształcie tego olbrzymiego przedsięwzięcia kulturalnego i opóźnił jego ostateczne skryształowanie, ale nie wpłynął bynajmniej ani na plany, ani na kierunek ogólny — za jednym chyba wyjątkiem: oto, być może, gdyby na czele gabinetu stał p. Andrzej Tardieu — to nie brakowałoby zapewne w „wiosce francuskiej” kościoła i dzwonnicy, tych niezbędnych szczegółów całości. Trudno jednak twierdzić, że byłoby tak z całą pewnością, gdyż różnych „proboszczów” — mangeurs des cures — pełno było zawsze we Francji i zaznaczałaby się w każdym wypadku ich fanatyczna „antydzwonnicy” tendencja.

W imię bezstronności musimy tu wspomnieć o pewnych naiwnych wybrykach niektórych pism polskich, życzących niedwuznacznie, by Wystawę spotkało jak najczarniejsze niepowodzenie, by jak najmniej turystów polskich znalazło się w jej murach — i by w ten sposób rząd Leona Bluma spotkała gorzka nauczka! To nastawienie partyjne jest niezdrowe. Pomijając przyszłość, które mówi, że „dłuższy” klasztor, aniżeli przeora — chodzi tu przede wszystkim o sprzymierzoną z nami od wieków Francję, niezależnie od tego, czy na jej czele stoi prawicowiec czy socjalista. Wszakże tak niedawno jeszcze mówiono ze złośliwym uśmiechem w Warszawie, że we wrześniu zeszłego roku „sprzedano za dwa miliardy Polskę Blumowi”. Przeraziła krótkowzroczność, brak kurtuazji — a równolegle z tem zamknięcie oczu na wymowny fakt współpracy obu Sztabów Głównych, polskiego i francuskiego, w obliczu niebezpieczeństw dziejowych.

Trudno tu, na marginesie Wystawy, powstrzymać się od sformułowania pewnych zasadniczych rysów, charakteryzujących żywotność Francji. Jest bowiem coś uderzającego w zestawieniu mobilizacji 1914 roku i tego olbrzymiego chaosu, który obserwowaliśmy jeszcze kilka tygodni temu w Paryżu.

Dwa monumentalne gmachy — Nowe Trocadero i Pałac Sztuki — zostaną i staną się niewątpliwie chlubą architektury Paryża. Już to samo stanowi dorobek poważny, tem poważniejszy, że perspektywa głównej osi Wystawy — od Wyższej Szkoły Wojskowej do

## „EXPO”, JAK NAZYWANA JEST W SKRÓCIE ROBI JEDNAK WIELKIE WRAŻENIE NA WIDZACH

NAPISAŁ EDWARD LIGOCKI

kolumny Pokoju jest naprawdę wspaniała.

Najelementarniejsza uczciwość każe nam stwierdzić, że tak jest istotnie. Wystawa się naprawdę udała. Nawet efekt chybiony otwarcia jej w nader niekorzystnych warunkach nie obniżył walorów całości.

Zapewne lepiejby było, gdyby na cześć Prezydenta Republiki nie zdejmowano na 24 godziny rusztowań, poto, by wznieść je ponownie — lepiejby było, gdyby nie zasłaniano na gwałt parkanami rozkopanych terenów i zwałów gruzu i śmiecia. Lepiejby było, gdyby pan Lebrun mógł dotrzeć wszędzie samochodem, czy pieszo i nie był zmuszony do udawania weneckiego doży, płynącego na benzy nowym Bucentaurze srebrną wstęgą Sekwany, jedyną drogą gotową, i to gotową od zamierzonych czasów.

Ale pomimo tego okazałość była rzetelna, efekt prawdziwy, i ani śladu tego rzekomego „upokorzenia”, o którym rozpisywały się ni w pięć, ni w dziewięć pisma opozycji, widzące jedynie dziury na całym.

Rzecz prosta, byłoby lepiej, gdyby pan Blum nie zapowiadał, że „Wystawa będzie zwycięstwem Frontu Ludowego nad faszyzmem” i gdyby właśnie faszystowska Italia nie dowiodła czynem, że pracuje prędzej i sprawniej. Byłoby lepiej, gdyby zjeżdżający się już cudzoziemcy nie zaczynali zwiedzania od pawilonów obcych, jedynych, które były wykończone na czas. Dawało to chwilowo wrażenie, że Francja nie pokazuje nic, prócz rozplanowania terenu i że prym dźwiera obcy. Ten jednak, kto umie patrzeć rzetelnie i dalej nie powinien się zrażać niedociągnięciami chwili. Lepiej jest odłożyć na przyszłość o-

stateczny sąd o całości, a ograniczyć się narazie do omówienia tego wszystkiego, co już zrealizowane zostało i co przedstawia dorobek poważny, ciekawy, a chwilami nawet imponujący.

Pawilon niemiecki, szlachetny w linii, okazały, naprawdę kolosalny z zewnątrz, zdumiewa wewnątrz jakąś jednostronnością i jakby ubóstwem, czy jałowością. Przemysł? Technika? Zapewne. Ale Niemcy są przecież wielkim narodem. Wnętrze pawilonu niemieckiego jest naprawdę wyrazem wtłoczenia życia w jedno obowiązujące wszystkich koryto, przypominające jednokierunkową ulicę. Jest coś symbolicznego w tym wielkim gmachu, obiecującym zdaleka mnóstwo wrażeń i objawień, a dającego w końcu rewelację jakiegoś wyjaśnienia gleby — czegoś, co widzi się na zagonie, właściciel którego nie dba o płodzmian, a sieje rok rocznie bez najmniejszej dbałości o prawa przyrody, to samo, i znów to samo...

Gdy wchodzi się do wnętrza niemieckiego pawilonu, uderza przede wszystkim jedno: styl wilhelmowski. To samo widywaliśmy już przed wojną w Berlinie, Monachium, czy Lipsku. Później dopiero widz zauważa przestronność gmachu i śmiałość jego kompozycji, przekształconej jednak dzięki niezbyt szczęśliwej dekoracji wnętrza, w jakieś ogromne teatralne foyer, do którego wtargnęła na wielką skalę obliczona reklama przemysłu, i tylko przemysłu.

Poza tem — przeraźliwa pustka, i wiszące pod stropami wrażenie zakneblowania indywidualizmu ludzkiego i prze-

kształcenia człowieka w maszynę — w taką maszynę, jak ten artysta-szklarz, który pośrodku olbrzymiej hali od rana do nocy dmucha w swe rurki, grzeje je nad ogniem i bez końca lepi kunsztowne pingwiny, kobry i flakoniki.... Czyż w kraju tym był kiedyś Sturm und Drang, Goethe, Novalis, Wagner? Być może, ale to wszystko było tak dawno — i zda się już niepowrotnie umarło w cieniu olbrzymiego purpurowego sztandaru ze swastyką....

A naprzeciwko łopoce drugi czerwony sztandar. Dwa pawilony — niemiecki i sowiecki usadowiły się oko w oko, twarz w twarz, przedzielone jasną, słoneca pełną połącją Warszawskiego placu. Przez plac ten, o symbolicznej nazwie, idzie, mówiąc współczesnym językiem „oś” druga — od kolumny Pokoju do Wyższej Szkoły wojennej — oś równie symboliczna, krzyżująca się właśnie na placu Warszawskim z osią Berlin-Moskwa.

Pawilon sowiecki widać ze wszystkich stron — a najwyraźniej bodaj z głębi olbrzymiej hali niemieckiego gmachu.

Nad propagandowym budynkiem moskiewskim — który żadnym innym zresztą celom nie służy — ciąży brutalna, niezharmonizowana, zbyt wielka w stosunku do rozmiarów gmachu grupa z chromowanego żelaza, przedstawiająca mężczyznę i kobietę z młotem i sierpem we wzniesionym ręku. Rzeźba ta przygniata swym ciężarem całość architektoniczną, tę całość, która wyglądała doskonale w projekcie, miała lekkość i polot, a w zrealizowaniu stała się czemś krzykliwym, niezręcznym i będącym mimowolnym symbolem ucisku, miażdżącego swą podwalinę.

Wnętrze jest poprawne, ale jak bardzo charakterystyczne! Lenin i Stalin, Stalin i Lenin, w malarstwie, rzeźbie, fotografii, druku, cytacie, chwalebne, reklamie, propagandzie, recepcie zbawienia ludzkości, przykładzie, kulcie i czerwonej ewangelii.

We wnękach wielkie obrazy propagandowe, posagi, grupy, marionetki, projekty dekoracji teatralnych. Stalin i Lenin, Lenin i Stalin. Jest w tym budynku coś z kina, coś z bezbożniczego zboru, coś z cerkiewnego fanatyzmu i z mauzoleum zamrożonego „Iljicza.” Mnóstwo bibuły, plakatów, wykresów, cała gama kunsztownych pomysłów pokornie orzącej biurokracji — i jakaś jeszcze bardziej w oczy bijąca jałowość, aniżeli w pawilonie niemieckim.

Mimowoli nasuwa się pytanie — czy w ten właśnie, a nie inny sposób odbija się totalizm państwowy, wydzwigniecie państwa na ołtarz bez miłości i Boga?

A teraz — kilka szczegółów. Oto w jednej z pierwszych sal stoi zdezelowany na wygląd, polakierowany świeżo na kolor purpurowy traktor, olbrzymi potwór, ciężki jak nieszczęście, i dający wrażenie, że nie tylko sam niechybnie pociągnął, ale że trzebaby

dobrej lokomotywy, by ruszyć mamuta z miejsca.

Dalej, podstarnia sowiecka reklamuje buty moskiewskie — 6 rubli, 6 franków para. Buty wprowadzie pod psem, ale tanie.

Rzecz dziwna — mruczy stojący obok mnie dziennikarz japoński. — Jak u nich wszystko potaniało! Miesiąc temu w Moskwie sprzedawali po 120 rubli. A gdyby tak dla kawału zamówić u nich milion par?

Stajemy przed wielkim malowidłem: Lenin, wzywający obywateli na polski front w roku 1920. Tłumy, sztandary, napisy propagandowe. Warto je tu zacytować:

SMIERT’ POLSKIM PANAM!

DAŁOJ POLSKICH ZACHWATCZIKÓW, NASILNIKÓW I UGIETATIELEJ!

PRO CZ’ S DORO GI POLSKICH BIEŁO GWARDISTÓW!

DA ZDRAWSTWUJET RABOCZIJ MOŁOT, KOTORYJ RAZDROBIT SPIESIWUJU GOŁOWI BIEŁOMU POLSKOMU ORŁU.

Jakiś nieznajomy, obrzucający wszystko trochę ironicznym spojrzaniem, widzi, że notuje te napisy. Podchodzi, uchyla kapelusza:

— Czy byłby pan łaskaw przetłumaczyć mi te napisy?

— Słucha, uśmiecha się.

— Z tem zmiążdżeniem głowy białego dumnego orla polskiego, to było jednak trochę gorzej. Czyżby już zapomnieli nieboraczki, że wzięły dobrze w skórę od Polki?

Uwaga ta wprawia nas kilku, Polaków, w jeszcze lepszy humor. Niema dotąd fotografii tego obrazu na sprzedaż. Próbuje zrobić zdjęcie pod światło sami. Niestety, złe warunki. Na nic.

By zakończyć cykl, idziemy zobaczyć, co dało trzecie państwo o zasadach totalistycznych — Italia. Ale pawilon włoski wprowadza nas w ołśnienie. Jest precudowny. Technie kulturą dwóch tysięcy lat. Nie sposób przejść — popatrzeć — napisać — trzeba wrócić, spędzić tam dzień, dwa czy trzy, i dopiero wtedy dostrzec profil całości....

Z wrażeniem tego zachwyty wiąże się jakiś głuchy żal. Oto przed godziną, przechodziliśmy obok rusztowań i gruzów, z których — jako 34-ty z kolei, ma podobno wyrósć na dzień 14 czerwca pawilon polski.

Ale o nim czas jeszcze wspominać. Poczekajmy, zobaczymy, by z jak największą bezstronnością i życzliwością go osądzić....

### ZNALAZŁ, CZEGO SZUKAŁ.

On: — Od dwudziestu minut nie powiedziała pani ani jednego słowa.

Ona: — A no, nie miałam nic do powiedzenia.

On: — Czy pani zawsze nie mówi nic wtedy, kiedy pani nie ma nic do powiedzenia?

Ona: — Naturalnie.

On: — W takim razie, czy nie zechciałaby pani wyjść za mnie zamąż?

### JUŻ BYŁA PEWNA

Przyjaciółka I.: — Powiedz mi, moja droga, jak wyglądałam podczas ślubu? Czy bardzo zdenerwowana?

Przyjaciółka II.: — Z początku ogromnie, ale uspokoiłaś się zaraz, gdy twój mąż powiedział „tak”.

### Premier Belgijski — Gościem w Białym Domu



Premier belgijski Paul Van Zeeland i jego żona, zostali przyjęci przez prezydenta Roosevelta w Białym Domu. Po wizycie goście i prezydent odbyli przejażdżkę po rzece Potomac.



# Z Ostatnich Dni Życia Alkoholika

NOWELA

**P**AMIĘTAM doskonale — zapijał się nałogowo, znajomi go opuścili... ciało jego było chore, strawione nawskóś alkoholem i cierpieniami, a śmierć czyhała na niego... Za dnia kryła się ona po kątach... a wieczorami siadywała milczkiem u wężłowia łoża jego — a siedziała długo, bardzo długo... Była spokojną, cierpliwą, natrętną, a uprzykrzoną aż do rozpacz...

Gdy tylko pierwszy błysk zorzy zajaśniał, wysuwał z pod kołdry bladą, wymęczoną twarz, a chociaż w pokoju było pusto — on jednak nie wierzył tej zwodnej ciszy, której inni ludzie dowierzają — śledził przenikliwie po kontaktach, nagłym ruchem oglądał się poza siebie — a potem wsparty na łokciach, pochłaniał wzrokiem ginącą w oczach, szarą pomrokę odchodzącej nocy...

Wówczas często spostrzegał to, czego inni nie widzą — kołysanie się jakiegoś olbrzymiego, nieforemnego cielska — które budziło w nim dreszcze... Gdy widmo odchodziło, w tej chwili opuszczał go lęk — aż do następnej nocy...

Nawiedzały go niezwykle straszne sny...

Raz miał sen, w którym zaśmiał się — lecz to nie był śmiech, a raczej krzyk, coś jakby stłumiony płacz — aż strasznie było słuchać tego dźwięku... Zdawało się, że gdzieś w bezdennej otchłani — śmieje się i płacze na przemian dusza ludzka — w ciele bezwładnym, sztywnym — jak u trupa...

W mglistą świadomość jego — stopniowo zaczęły się wciśkać pierwsze odgłosy budzącego się dnia — cały nieuchwytny chaos, splątanych z sobą dźwięków, wstającego z wypoczynku miasta Warszawy.

Wówczas — przedstawiała mu się jasno — świadomość, że znów nowy dzień się zaczął, że w krótko będzie musiał wstać, by rozpocząć walkę życiową — bez wiary w zwycięstwo...

A może i trzeba żyć...

Odwracał się plecami do światła, przykrywał głowę kołdrą szczelnie, ażeby najmniejszy promień, nie mógł się przedostać w zmęczone jego oczy. Wciągał nogi pod samą brodę, i... tak leżał długo — bojąc się najmniejszego poruszenia lub szelestu...

Ciało jego było zimne jak lód...

Modlił się jednak do nieznanego — bóstwa, by nie nadchodził dzień, by mógł zawsze tak leżeć nieruchomo — nie odczuwając potrzeby myślenia.

Nieraz, starał się wmówić w siebie, że noc jeszcze trwa. Najgoręcej jednak pragnął, by ktoś cicho i niewidzialnie — przyłożył mu rewolwer do skroni i jednym przycięciem cyngla, zakończył jego katusze...

Dzień wstawał wołający do życia — cały świat zaczynał pracować, ruszać się i... myśleć — a on pogrążony w jakieś błota i bagna, i wiry błędnie podlatującego światła...

Po kątach, śmierć się na niego czai — ze wszystkich stron dzień się wdziera, ze swym intensywnym nawoływaniem do życia, do działania, w imię jakiejś idei, do walki o

byt — co wszystko razem sprawia mu niewymowne męki...

Drząc na całym ciele, czeka tak w niezdolnej trwodze, nad słuchując czy czasem do niego, albo po niego nie przyjdą — a jednak, może na całym świecie nie było nikogo, kto by miał do niego lub po niego przyjść.

Miał on niegdyś żonę, ale mu "wzięła i umarła" — tak się wyrażał. Niegdyś miał siostry i braci, a jeszcze dawniej — zamglone wspomnienie o tej, którą nazywał matką. Wszyscy oni pomarli, a jeśli kto żyje to tak zagubiony w szerokim świecie, jak gdyby już nie żył...

I on sam wie o tym, że wkrótce umrze...

Gdy dzisiaj ze swego łoża będzie wstawał, nogi jego będą się uginać i trząść, a ręce ruszać się niepewnie, dziwnie — może to już śmierć będzie...

Ale zanim ona przyjdzie, trzeba żyć, a dla człowieka bez zdrowia, pieniędzy i woli — to jest okropnie męczące — więc znów ogarnia go rozpacz!

Zrzuca precz kołdrę, załamuje ręce i wydaje z siebie przeciągłe jęki, jak gdyby pochodziły one z tysiąca cierpiących piersi, i niby po brzegi nalane męką nie do zniesienia.

Życzył sobie jedynie nadziejsia nocy. — Począł ścisnąć kurczowo zęby i starał się tłumić w sobie wciąż nasuwające się myśli, że w przeszłości jego życia — było błoto, upadek moralny i rozpacz — a ta sama rozpacz, pozostawała mu na przyszłość.

Przyszła noc jak każda jej poprzedniczka, opasała ciemnością dalekie pola, rozsiadła się nad zastygłymi w strachu samotnymi gałęziami drzew, tych — które pierwsze chwytają blaski wschodzącego słońca. Ludzie walczą z nią sztucznym światłem, ale ona przepotężna, opasała owe sztuczne światła, czarnym pierścieniem, napełniła serca ludzkie swym mrokiem — a w wielu z tych serc, pogasiła słabo tlejące się iskry...

On — nie mógł usnąć, stuliwszy się w kłębek, krył się przed zimnem i nocą, i płakał — bez bólu, bez wysiłku — jak płaczą dzieci, których serce czyste i bez grzeszne jest. Sam siebie żałował — i zdawało mu się, że żałuje wraz wszystkich ludzi i całe biedne życie ludzkie...

W uczuciu tym kryła się tajemnicza i głęboka radość...

Wyobrażał sobie dziecko — dopiero urodzone, i zdawało mu się, że to on sam się urodził na nowe życie, a życie to swoje — oddał ukocha i... żyć będzie moralnie — to sprawiało mu taką radość, że zaśmiał się, potrząsnął okrycie nad sobą, i spytał się siebie przez łzy:

— Czego ja płaczę

Nie znalazłszy odpowiedzi, dodał:

— Tak sobie...

Tyle głębi myśli było w tym krótkim powiedzeniu, że nowa fala łez rozkołysała rozbitą pierś człowieka, którego życie było tak bardzo samotne i smutne.

Jak zawsze — u wężłowia jego zasiadła szara drapieżna śmierć i czekała — naprzykrzenie, spokojnie i cierpliwie.

Stanisław Czuwara.

## CZY WIECIE, ŻE —

Rysuje HENRYK ARCHACKI

Copyrighted 1934



Theodore Roosevelt, były prezydent Stanów Zjednoczonych, znany był ze swej sprawności w strzelaniu i zamiłowaniu dla natury. W roku 1909 stał on na czele wyprawy w głąb Afryki celem zdobycia jak największej ilości dla muzeów amerykańskich. T. Roosevelt pisał, że w przygotowaniach do tej wyprawy pomógł książkami które zabrał ze sobą w celu czytania w wolnych chwilach, znajdowały się dzieła Henryka Sienkiewicza, a to: Potop, Pan Michał, Krzyżacy i Ogniem i Mieczem.

W zamierzonych czasach podbojów plemiennych i początkach tworzenia prymitywu polskiej państwowości, orzeł jako symbol książęcy, a

więc jako symbol potężniejszego nad słabszymi występuje niemal równocześnie z pierwszymi historycznymi datami. Dopiero wiek XII i XIII — okres dzielnicowego rozbicia Polski po śmierci Bolesława Krzywoustego (1138 r.) dostarcza nam pewnych wzorów orla tego okresu czy to na pieczęciach, czy na rzeźbionych zabytkach nagrobkowych. Ciekawie przytem, że książęta śląscy używają przeważnie orla czarnego, nierazki również był i czerwony.

Ciekawym zabytkiem w kościele św. Mikołaja w Kaliszu są stalle drewniane rzeźbione, na których jedna z płaskorzeźb przedstawia ścięcie Włodka z Domaborzyc, kasztelana

nakielskiego w r. 1467 za pomocą gilotyny, na tle murów zamku i domów rynku kaliskiego. Gilotyna ta na trzy wieki z okładem wyprzedza gilotynę Rewolucji Francuskiej.

W przywileju opata Michała, wydanym w Tyńcu r. 1328 jest powiedziane że pozwolił niejakiemu Ursowi na założenie sołtysostwa Pilzna na prawie średzkim. W r. 1354 Kazimierz W. wydał przywilej na utworzenie tu miasta, na takim prawie niemieckim, jakim się rządzi Kraków. Zabytkami przeszłości są: starożytny kościół parafialny nieznanego erektory, oraz kościół pod wezwaniem św. Ducha, wzniesiony przez Jagiełłę w r. 1403.

## TRUJĄCE LISTY

**B**YŁO już po północy. Stałem na przystanku, czekając na nocny tramwaj.

W sąsiedniej bramie żegnała się jakaś para. Spletli się w gorącym uścisku, nie zwracając na nic uwagi. Niewiasta od czasu do czasu wyciągała rękę i naciskała dzwonek przy bramie. Ale dozorca nie otwierał.

— Spójrz pan jak się kochają! — mrugnął do mnie, stojący również na przystanku jegomość w cyklistówce. — Ma facet rację.

Popatrzał z pobłażliwym uśmiechem na ściskającą się parę i pokręcił głową.

— Swoją drogą — mrugnął — trzaby było faceta trochę odstawić, żeby przestygł. Dozorca może trunkowy i ma twardy sen. A z takiego długiego żegnania nieszczęście może wymknąć.

III. Z miłości jeszcze nikt nie umarł.

Nieznamy w cyklistówce spojrzeli na mnie melancholijnie i westchnęli ciężko.

— Nie mów pan tak. Bywają wypadki. Mnie samemu się raz zdarzyło.

— że pan umarł z miłości? — Ja nie. Ale ta, co ją kochałem...

Pokiwał głową i westchnął jeszcze smutniej niż przed tym.

— Wandzia się nazywała — zaczął opowiadanie. — Poznałem ją przy obławie. Razem nas koło dworca przytrzymał. Bo ja, uważasz pan, wódką handluję.

Spodobała mi się od pierwszego spojrzenia. Jak nas prowadzili do mamra, to nic, tylko przez całą drogę o miłości gadaliśmy.

Mnie nazajutrz puścili. A ją przytrzymał. Podobno za to, że gościowi portfel rąbnęła.

Jakiem się dowiedział, że moja miłość siedzi, od razu się zakrzyżnałem koło aprowizacji. Regularnie co tydzień wólowki musiała dostać.

Miłość to mnie tak gryzła, mówię panu, że wytrzymać nie mogłem. A tu ani widzenia nie dają, ani listów nie pozwolą pisać, żebym się z jej świadkami nie zwąchał.

Człowiek jestem z więziennym życiem obyty i na wszystko mam sposób.

Uważasz pan, na malutkich papierkach pisałem różne wyrażenia miłosne, potem związałem w trąbkę i przez małą dziurkę wtykałem w kielbasę. Takim sposobem Wandzia miała co zjeść i pociechę miała dla serca.

Aż raz po trzech miesiącach przychodzi i ciemno mnie się zrobiło przed oczyma... Z więzienia trumnę wynoszą, a w trumnie moja Wandzia.

Lecę jak wariat do naczelnika... Ludzie kochane! Moja Wandzia nie żyje! Kto ją skrzywdził! Z czego umarła!

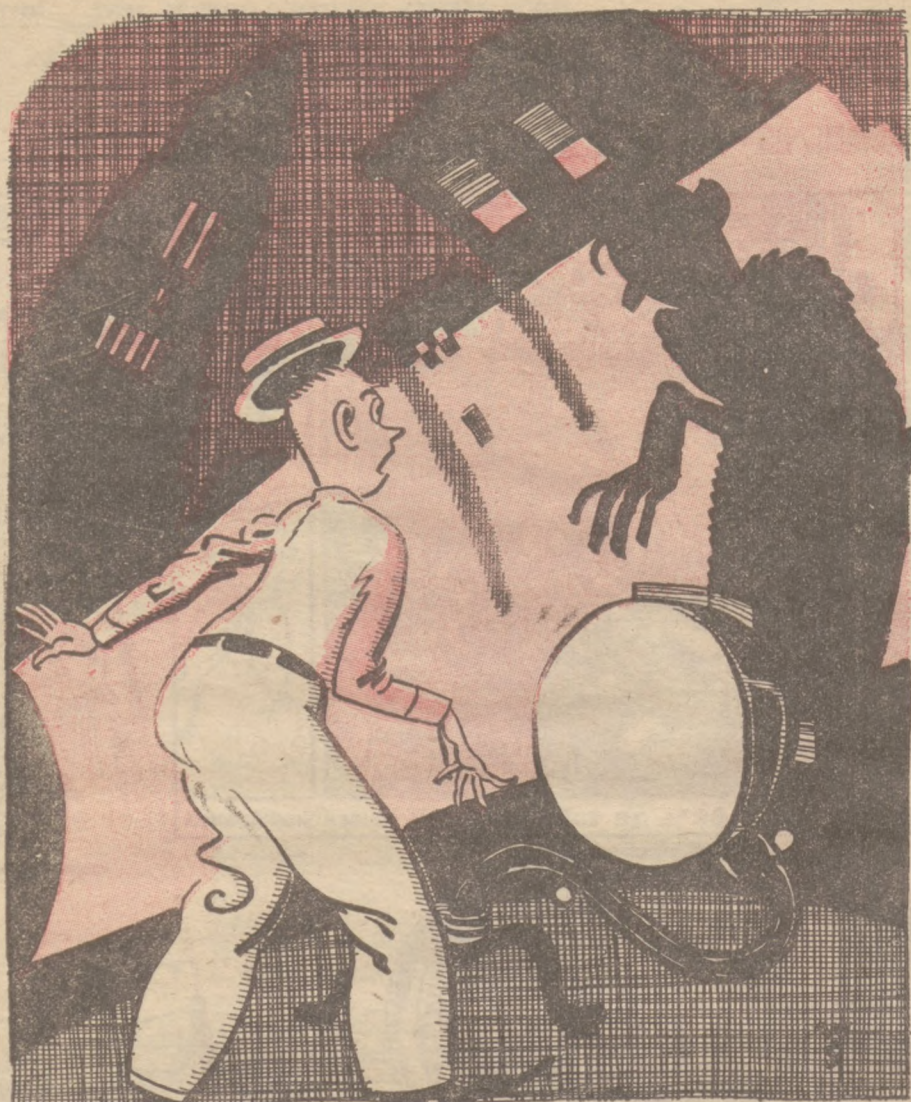
Dopiero mnie naczelnik powiadził, że z miłości...

— Jakiś facet — powiada — listy jej miłosne w kielbasie przysyłał. Ona wszystkie zeżarła i się tą farbą od ołówka struła... Początkowo sami nie wiedzieli co jej jest. Dopiero sekcje zrobili i 16 miłosnych listów w jej żołądku znaleźli.

Rozumiesz pan?... Listami miłosnymi kobietę zabiłem. A pan powiada, że z miłości nikt nie umiera.



# Jak Wygląda Kraina Filmów o 4-ej Rano



Gdy spaceruje się w nocy po Hollywood, można się niejednokrotnie nastraszyć. Rzucone nagle światło z reflektora wzbudzi w umyśle waszym rozmaite fantazje.

WIEKSZOŚĆ prac połączonych z produkcją filmów jest wykonywana w nocy, lecz to nie oznacza że artyści filmowi nie są zatrudnieni w ciągu dnia. Studio nigdy nie śpi.

Wogóle całe produkowanie obrazów jest podzielone na szychty. Każda faza jest podzielona na szychty. Stolarska naprzykład jest czynna przez 24 godziny. Robotnicy podzieleni na szychty pracują przez całe dnie i noce budując, malując, przybijając tapety. Laboratorium również pracuje przez całą noc wywołując filmy.

Od zmroku aż do rana w departamencie nazwanym "Operations" przy telefonie siedzi jeden pracownik. Otrzymuje on wszystkie telefony i przez całą noc jest bardzo zajęty. Co dwie godziny otrzymuje on raporty powietrzne z całego kraju. W razie złych wiadomości, może on natychmiast zawiadomić kompanie o nich. Gdy pewna grupa artystów nagle dowiaduje się, że brak jest jej dwóch pistoletów, pracownik pracujący w tym oddziale postara się, że pistolety znajdują się w miejscu przeznaczonym.

Gdyby naprzykład ktoś was zaprosił być o godzinie 4-tej rano urządzili turę po przez studia w Hollywood? Możecie nie bardzo chcieli pójść lecz w końcu poszlibyście.

Jeżeli cierpicie na halucynację lepiej nie chodzić. Wszędzie dookoła w wąskich uliczkach i w ciemnych zaułkach zobaczycie duże szare budynki, które wydawać się będą jak duże przesłady w barierach. Tu i ówdzie reflektor rzuca żółte światło na dużą ścianę betonową, a to robi wrażenie że okna patrzą się na was jakby na nieproszonego gościa.

Drzwi nr. 12, wiodące na scenę są otwarte. Wewnątrz pracuje 20 stolarzy. Przygotowują oni olbrzymi teatr na nowy film p. t. "Broadway Melody of 1938". Za sześć godzin Eleonora Powell będzie tu tańczyła. Całe trzecie piętro w budynku, w którym wyrabiane są garderoby jest przy pracy. Krawczyńce pracują przez dzień i noc nad

kostiumami, które Norma Shearer będzie nosiła w filmie p. t. "Marie Antoinette."

Nie można nigdy powiedzieć kto będzie pracował w studium przez całą noc. Jedno małe wydarzenie może spowodować zatrudnienie przez całą noc dla wielu grup. Naprzykład pewnego dnia o godz. 7-ej wieczorem, jeden z dyrektorów decyduje, że on chce żeby

Jeżeli chcecie zobaczyć początek dnia w studium, musicie wstać wcześniej. Ten reporter zrobił to poświęcenie i dowiedział się wiele ciekawych rzeczy o przyzwyczajeniach naszych gwiazd i wogóle o produkcji filmowej.

wszystkie sceny były przepisane. Weźmy naprzykład takie studia, w których produkowane są pożary, wojny, powstania, rewolucje, — w tych studiach nie jest odłożone do jutro, co może być wykonane dziś wieczorem.

W takim wypadku autorzy, pisarze scenariuszów, dyrektorzy i tacy sekretarze zostają na konferencji, a ta konferencja trwa tak długo dopóki ich cel nie został osiągnięty. Jeżeli nowe sceny potrzebują nowych mebli, nowych kostiumów, nowych ensembli, — i nieco większą liczbę artystów tak zwanych "extras", wszystko to musi być wykonane wieczorami, w nocy lub nad ranem tak żeby można było rano przystąpić do nakręcania obrazu.

A PORANEK w Hollywood jest bardzo wczesny. O godz. 5-tej studio jest już na nogach. W tym czasie nocne szychty idą do domu, a przybywa mała armia stróży. Najsamprzód nakręcają oni ciepłą parę w garderobach przeznaczonych dla gwiazd, w biurach dyrektorów i urzędników i w głównym budynku. W tym samym czasie po

proze bramy przechodzą asystenci zatrudnieni w departamencie charakterystyki. Trzeba przygotować przybory kosmetyczne, a o ile w obrazie tym występują większe tłumy tak zwanych "extras", trzeba stoliki używane do charakterystyki należycie oświetlić. O godzinie 5:50 przybywają panny zatrudnione przy charakterystyce i robieniu fryzur.

O godz. 6-ej rano przybywają asystent dyrektora, menażer produkcji i dyrektor artystyczny. W kilka minut później przybywają tak zwani "property men", którzy przeglądają swe listy i przygotowują potrzebne do nakręcania filmów najmniejsze przybory.

O godz. 6:30 przybywają elektrycy i zaraz zabierają się do pracy. O godzinie 7-ej przybywa oddział robotników, którego zadaniem jest rozmieszczenie mebli. Jeżeli dany garnitur był używany dnia poprzedniego przeprowadzone jest ponowne czekowanie przy pomocy fotografii aby zobaczyć czy wszystkie szczegóły są takie same jak w poprzednich scenach.

Robotnicy sceniczni przybywają o godz. 8-ej i przystępują do pracy przy

mikrofonach i przy rozmieszczeniu ekipunku technicznego. Pół godziny później przybywają operatorzy dźwiękowi. Próbuja oni maszyn rekordowe i muszą dopatrzeć by były one zaopatrzone w filmy. W kilka minut później przybywa główny fotograf, który bacznie efekty świetlne były odpowiednie. O godz. 8:30 przybywają zastępy tak zwanych extras, które są przesłuchiwane przez asystenta dyrektora. O godzinie 9-ej, kiedy to przybywa dyrektor i gwiazdy sceniczne wszystko już jest gotowe do nakręcania filmów i zazwyczaj w 15 minut później rozpoczyna się nakręcanie.

KTO powiedział że artystki filmowe są biedne, gdyż muszą wstawać tak wcześnie? Godzina dziewiąta nie jest jeszcze tak źle. Lecz trzeba pamiętać, że aby być ubraną i przygotowaną do pracy na godzinę 9-tą, gwiazda musi wstać kilka godzin wcześniej. Ona musi wstać pomiędzy 5-tą i 7-mą.

Gdy się je widzi gdy przybywają wczesnym rankiem do studia, bez śniadania, nie wyspane, nie upudrowane i napół ubrane — wówczas człek dziwuje się i pyta sam siebie co jest dobrego



Kay Francis zaraz zrana mówi, że ma nadzieję, że żadni goście nie przybędą do studia.



Spóźnione gwiazdy idąc do pracy wcale nie ubierają się. Idą one do studia w bieliznie, na którą mają narzucony płaszcz.

w tem tak rannym wstawaniu. Gdy przybywają one do studia rano nie wyglądają tak, jak później je widzimy na obrazach. Dużo można dowiedzieć się o naszych gwiazdach od fryzjerek, od charakterystatorów i innych, którzy stykają się z nimi wczesnym rankiem.

Greta Garbo jest najbardziej punktualną z artystów zatrudnionych przez M. G. M. Wstaje ona regularnie o 6-ej, a o kwadrans po siódmej zajeżdża do studia samochodem kierowanym przez jej szofera. Wówczas idzie ona do garderoby i przygotowuje się do filmu.

O ile jesteście w tem zainteresowani, to można wam powiedzieć że Greta Garbo nie ma fałszywych brwi. W jej

garderobie je ona zawsze śniadanie, a później o godzinie 10-ej gdy już jest na scenie pije kawę. W tym samym czasie Jeanette Mac Donald pije filiżankę rosołu, a Joan Crawford zamawia sobie szklanek mleka.

MAUREEN O'SULLIVAN ma odwagę. Ona wstaje o godz. 6-ej rano i wszystko jedno czy pogoda czy deszcz kąpie się w falach Pacyfiku. Je ona śniadanie w domu razem ze swym mężem i przybywa do studia o godz. 8-ej. Una Merkel, która zazwyczaj śpi w pyjamach jej męża, wstaje o 7-ej i pije kawę i sok pomarańczowy. O godzinie 7:45 ona jest już w buduarze. Najsamprzód robi dwie rzeczy. I to zawsze z jednakową precyzją i zawsze w jednakowym porządku. Najsamprzód myje sobie oczy, a później płucze gardło. Una nigdy nie jest smutna ani też kapryśna z rana.

Lilian Rosine, popularny charakterystator w studiach M. G. M. powiada że dziewczyny, które wyglądają najświeżej z rana są te, które mają piegi, —



Jeanette Mac Donald o godzinie 10-tej pije filiżankę rosołu.

a więc Joan Crawford, Maureen O'Sullivan i Myrna Loy.

Panna Loy używa bardzo mało charakterystyki na scenie. Za wyjątkiem pomadki, którą ona przykrywa piegi, wygląda ona na scenie zupełnie tak samo, jak w życiu codziennym. I powiada ona, że to wstyd, że ona jest zmuszona przykrywać piegi kremami.

Luise Rainer lubi dużo mówić o jej zdrowiu. Kay Francis zawsze ma nadzieję że do studia nie przybędą w odwiedziny żadni goście. Eleanor Powell mówi dużo o jej nowych krokach tanecznych i stale przerywa pracę charakterystatorów i pokazuje nowe "steps", których się ostatnio nauczyła.

GDY się nieco spóźnia, nasze gwiazdy sceniczne bardzo często wcale nie ubierają się, przybywają do studia w spodniej bieliznie, na którą jest narzucony płaszcz. Na takie okazje, w garderobie każdej gwiazdy zawsze wisi jeden kostium, tak aby wieczorem mogły one opuścić studio bez kłopotów się. Gdy mowa o rannym

wstawaniu mężczyźni biją na głowę wszystkie nasze żeńskie gwiazdy. Większość mężczyzn jak Gary Cooper nie używa wcale żadnych kremów i pomad. Inni, dajmy nato jak Errol Flynn nacierają tylko cieniutko trochę tłustej pomadki, a więc mężczyźni mogą spać o jedną godzinę dłużej.

Wyjątkiem jest Robert Taylor. Wstaje on codziennie o godzinie 5:30 i przed śniadaniem jeździ konno. Bing Crosby wstaje o tej samej godzinie. Zanim uda się do pracy, gra zazwyczaj w tenisa ze swą żoną. Spencer Tracy musi wstać wcześniej bo on mieszka w oddale o jakie 60 mil od studia. Jack Benny także wstaje wcześniej bo on je dwa śniadania.

Fred Mac Murray jest szczerym, to też zawsze jest gotów przyznać że on jest w kiepskim humorze gdy przybywa rano do pracy. Biedak nie lubi wstawać wcześniej. To u niego jest wrodzone. I nikt nie zwraca na niego żadnej uwagi, aż do godziny 10-ej, bo tego czasu on jest w kiepskim humorze.



# Dla Naszych Najmilszych Dla Działwy i Młodzieży

## ZWYCIĘZCA

Wszyscy chłopcy wiedzieli o tem, że Franka nikt w biegu nie zwycięży. To też gdy dowiedziano się w klasie o zawodach międzyszkolnych, byli przekonani, że piękny puchar zdobędzie Franka dla ich szkoły.

—Franka, pamiętaj, że musisz wygrać!

—Franka, nie zrób nam zawodu!

A Franka tylko się uśmiechał i odpowiadał:

—Jakoś to będzie—ale w duszy powtarzał sobie: muszę wygrać. W dzień zawodów wszyscy zgromadzili się na boisku; koledzy udzielali Frankowi ostatnich rad.

Wreszcie chłopcy stanęli na starcie.

Huknął strzał...  
Ruszyli.

Wybiegli ze stadionu, ponieważ trasa prowadziła przez ulice miasta. Wkrótce wszyscy zginęli za najbliższym zakrętem. Franka biegł na przedzie.

Zawodnicy biegli ulicami, wzdłuż których stało pełno ludzi.

Franka biegł pierwszy; nie znać na nim było zmęczenia, choć już połowę trasy przebył. Nagle na skrzyżowaniu ulic poczęto wołać:

—Konie, spłoszone konie! Uciekać!

Jakaś mała dziewczynka chciała przebiec ulicę, lecz noga się jej pośliznęła i upadła. Właśnie przebiegał obok pierwszy zawodnik—Franka. Ujrzawszy niebezpieczeństwo i skoczył do dziewczynki, chwycił ją i zaniósł do pobliskiej przeczki matki.

Konie przebiegły pędem...

Chłopiec przekonawszy się, że dziewczynce nie stało się nic złego, pobiegł dalej zegnany wdzięcznym spojrzaniem i podziwem ludzi, stojących na chodniku.

Trwało to wszystko zaledwie kilkadziesiąt sekund, lecz wystarczyło, by inni zawodnicy zdążyli znacznie się oddalić.

Franka nie zrezygnował z walki. Zwiększył tempo, zmniejszając odległość dzielącą go od innych. Czy tylko zdola ją wyrównać?

—Muszę, muszę—powtarza sobie uparcie. Wszak tam czekają na niego nauczyciele i koledzy.

Za chwilę chłopcy wbiegali na boisko. Jeden, drugi, trzeci, czwarty a Franka niema. A więc zawiódł, nie zdobędzie pierwszego miejsca.

—O! Wpada Franka!

Biegnie uśmiechnięty, z głową podniesioną.

—Przedem, przedem!—wołała koledzy.

Franka zwiększa krok. Ale właśnie w tej chwili ktoś inny przerywa taśmę. Franka tego nie widzi. Mija jeszcze kogoś i przebiega metę.

Żał mu trochę, że nie wygrał biegu, lecz jednocześnie czuje w sercu radość ze spełnionego czynu. Tylko chłopcy z jego klasy nie mogą mu przebaczyć zawodu.

Przepadł puchar. Taki piękny, błyszczący, trzeba czekać cały rok do następnych zawodów.

Dopiero, gdy wieść o czynie Franka rozbiegła się po stadionie, inaczej zaczęto patrzeć na niego. Zrozumieli chłopcy, że czyn Franka był prawdziwym zwycięstwem, a szkole całej przynosi zaszczyt nie mniejszy, niż zdobycie pucharu.

Nauczyciele wieszali Frankowi zwycięstwa... a chłopcy ściskali jego dłoń i mówili: na przyszły rok puchar będzie nasz!

## DLA NAUKI I ROZRYWKI

### ŁAMIGŁÓWKA

```

+ - - - - -
+ - - - - -
+ - - - - -
+ - - - - -
+ - - - - -
+ - - - - -
+ - - - - -
+ - - - - -
+ - - - - -
+ - - - - -
+ - - - - -

```

Na miejsce krzyżyków i kresek wpisać litery wyrazów o następującym znaczeniu: 1. część alfabetu; 2. inaczej samolubstwo; 3. cząstka wody; 4. smaczne owoc; 5. mieszkańcy Rosji; 6. służą do łowienia ryb; 7. inaczej strach; 8. pora roku; 9. nazwa małych obrońców Lwowa.

Litery wpisane na miejsce krzyżyków dadzą wyraz, jaki oznacza rzecz, którą dzieci nie chcą zażywać, kiedy są chore.

Rozwiązanie z poprzedniego tygodnia: Polska; Ameryka; Newark; tydzień; armata; Dunajec; Emilia; urodzaj; sobota; znaczek.

Wyraz początkowy: Pan Tadeusz.

## Jadą Mazury

Hej, z góry, góry  
Jadą Mazury,  
Jadą, śpiewają  
Z bata trzaskają.

Boże kochany!  
Jakie biczyska!  
Szumią sukmany,  
Gorsecik błyska.

A chusteczka  
W kwiateczki,  
U Kasieńki  
Dzieweczki.

Mazurskim laskiem,  
Mazurskim piaskiem  
Jadą ci, jadą  
Z śpiewem i trzaskiem.

Jadą, jadą  
Hej, z góry,  
Zadzierzyste  
Mazury!

Moje parobeczki  
Niech wam Bóg da zdrowie,  
Dokąd tak jedziecie?  
Może który powie?

Do Warszawy  
Jedziemy  
Piękną Kasie  
Wieziemy.

Bo w Warszawie, wiece,  
Pięknych wstążek wiele,  
Kupi sobie je Kasia  
Na swoje wesele.

## WAKACJE

Głośno zadzwonił ostatni raz  
Wesoły, szkolny dzwonek:

—Do domu czas! Do domu  
czas!

Nie będę więcej budzić was!  
Już lekcje skończone!

Z ławki na ziemię zeszyt spadł,  
Zatańczył na podłodze:

—Bardzo się cieszę, bardzo  
rad!

Jutro mnie czeka inny świat,  
Do szkoły nie przychodzę!

Pod ławką jedna teczka  
W bok, trąciła drugą teczkę:

—Ja też skończyłam szkolny  
rok!

Już znudził mi się w ławce  
mrok,

Chodź ze mną na wycieczkę!

Śpioch dzwonek już się do snu  
kładzie,

Zmęczony od gorąca.  
Dobrze mu będzie spać w szufladzie

I o uczniowskiej śnić gromadzie

Przez dwa i pół miesiąca.

A zeszyt w kącie rzucony kędyś  
Do końca zapisany,

Gorzko wspomina swoje błędy  
I z atramentu plamy.

## Przyjemna Zabawa



Dzieci lubią bardzo skakać przez sznur; jest to miła rozrywka, lecz trzeba mieć w niej umiarkowanie, gdyż zbyt długie skakanie może bardzo źle odbić się na zdrowiu.

## DZIEWCZYNA I HARCERZ

Obrazek w jednym akcie.  
(Dziewczynka wychodzi z bramy domu, smutna i staje bezradnie. Harcerz przechodząc, spostrzega ją i zatrzymuje się.)

**Harcerz.**

Coż tak smutna, moja mała?

**Dziewczynka.**

Chciałam pieniędzy od tej pani (wskazując na okno domu) Mama bieliznę szyła dla niej, A pani jutro przyjąć kazała...

**Harcerz.**

Więc przyjdiesz jutro, z tej przyczyny Nie trzeba robić kwaśnej miny,

Przecież do jutra niedaleko.

**Dziewczynka.**

Tak, ale miałam iść po mleko I miałam przynieść trochę chleba,

Nic w domu niema, a żyć trzeba.

**Harcerz.**

Nic w domu niema?

**Dziewczynka.**

Tak, ja sama Mogę nic nie jeść, ale mama... Mama się tak napracowała, Przez noc całutką dzisiaj szyła.

**Harcerz** (zdejmuje plecak). Zaraz, poczekaj moja mała, Widzę, że jesteś dobra, miła... Więc za nim ruszę w dalszą drogę

To ci w potrzebie twej pomogę.

**Dziewczynka.**

Dziękuję ci, mój dobry panie! **Harcerz** (podaje jej butkę) Masz, przedewszystkiem zjedz śniadanie.

**Dziewczynka** (wahając się) Tak, ale mama?...

**Harcerz.**

O, i dla mamy Coś w tym plecaku poszukamy!

**Dziewczynka.**

Dziękuję! Więc zjeść?

**Harcerz.**

Nie inaczej.

**Dziewczynka.**

A kto ty jesteś, dobry panie?

**Harcerz.**

Ja jestem harcerz.

**Dziewczynka.**

Co to znaczy?

**Harcerz.**

Nie wiesz? Posłuchaj więc, kochanie:

**Harcerz**, to taki chłopak młody, Co znosi trud i niewygody, Co się złym losom nie da zgnać, Nie lęka się piorunów, burzy,

Ojczyźnie swojej wiernie służy, Nie umie kłamać ani kłąć, Zawsze go ludzka nędza wzruszy,

Wyteża wzrok, wyteża słuch, Pomaga innym z całej duszy, Bo hasłem jego jest: Czuj ducha!

**Dziewczynka.**

Ach, jak mnie to raduje szczerze, że tu na świecie są harcerze! A czy ich dużo?

**Harcerz.**

Pełno wszędzie.

**Dziewczynka.**

To teraz wszystkim dobrze będzie?

**Harcerz.**

Masz tu kwoderka.

**Dziewczynka.**

Za nic w świecie nie przyjmę...

**Harcerz.**

Jutro oddasz przecie.

**Dziewczynka.**

Więc dobrze.

(Bierze od niego pieniądze).

**Harcerz.**

Zaraz zanieś mamie.

**Dziewczynka.**

Więc wiesz, kto harcerz?

**Dziewczynka.**

Doskonale!

**Harcerz.**

Taki, co nie kłamie i nie kłamie.

**Harcerz.**

W przyjaźni będzie wierny stale

(Podaje jej rękę)

Więc przysięż kłaniam się harcerce,

A harcerz wtedy jest coś wart, Kiedy ma w sobie męstwo,

hart, Kiedy ma siłę...

**Dziewczynka.**

I ma serce.

**Harcerz** (zawiesza plecak i odchodząc mówi)

Zawsze go ludzka nędza wzruszy,

Wyteża wzrok, wyteża słuch, Pomaga innym z całej duszy, Bo hasłem jego jest "Czuj ducha!"

(Odchodzi, dziewczynka patrzy za nim, zasłona spada—koniec.)

## MĄDRE PRZYSŁOWIA

Gdy każdy przed swym domem omiecie, będzie czysto na całym świecie.

Lepiej mieć stu przyjaciół, niż jednego wroga.

Czytanie i pisanie — za majątek stanie.

## Szukajcie a Znajdziecie



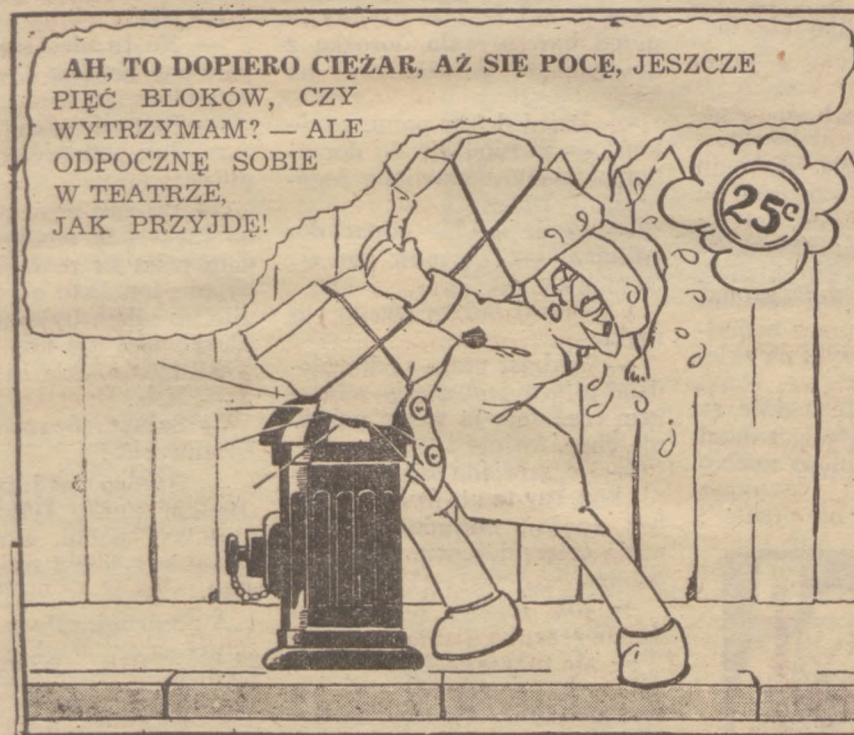
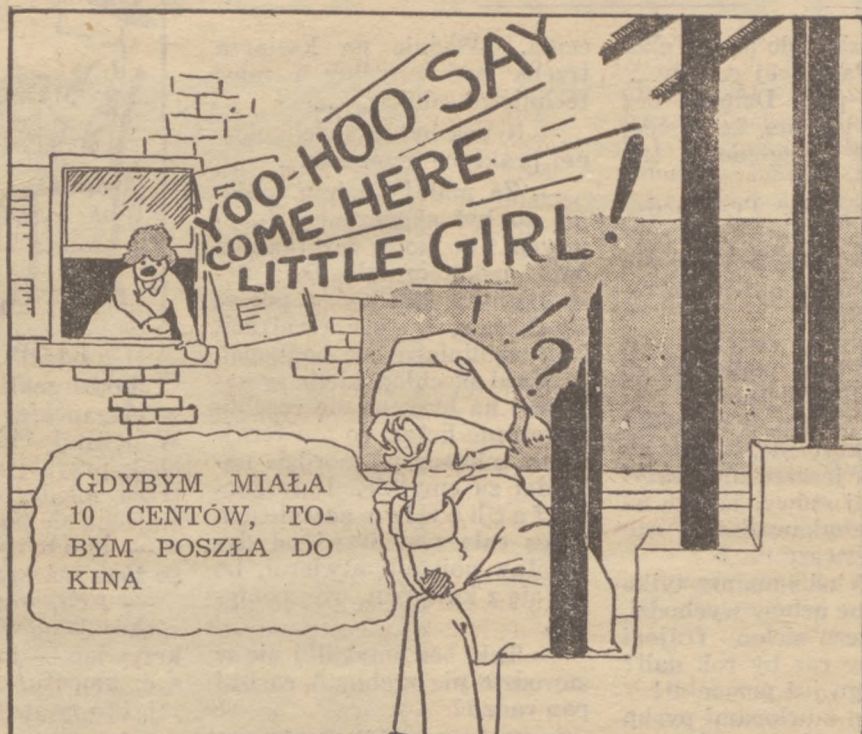
Tutaj widzicie dwa obrazki, przedstawiające straszne tygrysa i łagodne króliki. Na pierwszym obrazku są ukryci dwaj myśliwi, którzy chcą go upo-



lować. Na drugim obrazku schował się właściciel królików. Czy potraficie znaleźć myśliwych i właściciela królików? Szukajcie.



# Lilijka z Zaulka



## Historyczny Cylinder

Słynny historyk i pierwszy prezydent republiki francuskiej Adolf Thiers (1797-1877) odbywał w młodości studia w mieście Aix (południowa Francja).

Będąc wówczas młodzieńcem dwudziestoletnim, zakochał się w pewnej młodej i pięknej Prowansalce. Wymienione zostały wzajemne przysięgi miłosne, poczem przyszła kolej na zaręczyny. Niebawem

jednak Thiers opuścił Aix i wyjechał do Paryża.

Wkrótce potem poczęły dochodzić go słuchy, że wybrana jego odbiera bardzo chętnie hołdy również i od innych młodzieńców; jednocześnie wymiana listów między nim a jego narzeczoną odsoniła w charakterze tej ostatniej pewne ujemne cechy charakteru, które wcale nie przypadły Thiersowi do gustu. Coraz rzadziej tedy odpisywał na listy swej

dawnej ukochanej i w końcu przestał odpowiadać zupełnie. W końcu zjawił się w Paryżu jako "obrońca czci" swej córki, obrażony ojciec, aby z całym temperamentem prawdziwego Prowansalczyka zażądać od niedoszłego zięcia wyboru między córką a pojedynkiem na pistolety.

— Zgoda! — odparł z zimną krwią Thiers. — Wolę już raczej spędzić kilka minut w obliczu broni której nie znam, aniżeli całe życie z kobietą, którą znam aż nadto dobrze.

Pojedynek odbył się rzeczywiście. Pierwszy strzał dany

przez Thiersa skierowany był w powietrze. Niedoszły teść traktował sprawę poważniej. celował w głowę swego przeciwnika. Thiers był małego wzrostu i stałe nosił bardzo wysoki cylinder. To też kula przebiła tylko nakrycie głowy.

Thiers zdjął cylinder, obejrzał go spokojnie, poczem z równym spokojem włożył go z powrotem na głowę. Następnie wystrzelił w myśl przepisu po raz drugi — również w powietrze.

Rozwścieczony Prowansalczyk wycelował po raz drugi, tak jak poprzednio w głowę —

i znów trafił w wysoki cylinder przeciwnika, tym razem tuż nad rondem.

Przyszły prezydent republiki francuskiej zdjawszy swój dwukrotnie przestrzelony cylinder, oddalił się z miną zwycięzcy. Swemu "zbawcy" wyznaczył zaszczytne miejsce nad swoim łóżkiem.

Pojedynek ten oraz "historyczny cylinder" dały Francuzom sposobność do ułożenia następującego dowcipu: "Gdyby nasz Thiers nie był taki mały — nie stałby się nigdy takim wielkim".



# HUMOR :- ŻART :- SATYRA

## WYBÓR ZAWODU

— Przyszedł do pana Felka względem fachowej porady....

— Mów pani Dzieciół bez krępacji, wiadomo, że jestem wytworniak względem tak zwanej płci.

— Faktycznie. Przychodzę niby z tym, że synek za miesiąc kończy edukację i nie wiem względem jakiego zawodu go skierować....

— A co synuś kończy?

— Rok domu poprawczego dla małoletnich pętałów.

— Za co niewinnie cierpiął?

— Oj, faktycznie, że niewinnie! Nawet jeszcze nie zdążył podwalić tej stowy, jak go na schodach przykaraulili!

— To pierwszy raz?

— Pan Feluś z mamra tylko na zdrowotne urlopy wychodzi, a taki jeszcze zielony frajer! Za pierwszy raz by rok dali? Trzeci raz go już przymkli!

— A pani z urlopami pyska nie rozpuszczaj, bo salonowe życie świadome znam, ale swoją drogą oko mogą pani na fioletowo zrobić, jak się zdenerwuję.... Więc teraz chodzi o zawód?

— Właśnie nie wiem, co zrobić z nim!

— Ciężko z młodziakiem. Na szopenfeld, widać, że mało zdolny, jak go trzeci raz łapią w młodym wieku. Także samo na kopertę, albo carskie brylanty też smykałki trzeba mieć....

— Możeby na kasiarza?

— Od razu widać, że pani nie masz fachowego wykształ-

cenia. Właśnie na kasiarza trzeba być zmyślny i mieć techniczne edukacje....

— Synek był na mechanicznej praktyce przez rok....

— Za mało! Znałem takiego, co był skończonym inżynierem i podkop z ferajną pod bank uskutecznił. Dwa tygodnie orał, jak koń, a potem się okazało, że kierunek stracił i do wędliniarni się podkopał. Zgniwał się chłop, kiełbasy nawalił i na brzuch się rozchorował, nie licząc, co mu ferajna na miejscu po mordzie nakładła za omyłki. Inny znowu fachowiec acetylenem przez całą noc drzwi od dyskretny ubikacji otwierał, bo mu się z kasą pancerną pomyliło.

— Tak, bez smykałki nie w zawodzie nie robi. A co byś pan radził?

— Daj go pani do banku.

— Ii, pan Feluś sobie śmichy-chichy z bidnej wdowy odstawia!

— Jak rany! Sama pani widzisz, że chłopak do uczciwej pracy zdolności nima, więc trzeba mu życie oblatwić. Daj go pani na woźnego, powoli chłopak dojdzie do stanowiska derektora i spokojnie może sobie żyć z defraudacji....

— Może i dobrze pan radzisz....

— Się wi. Każden jeden może uczciwą pracą na życie zarobić, tylko trzeba cierpliwości....



### KŁOPOTLIWE

Młodzi małżonkowie siedzą w eleganckiej restauracji. — W pewnej chwili przechodzi obok przystojna dama, która trąca młodego żonkosia i uśmiecha się poufale.

— Kto to był, Jasiu? — pyta żona marszcząc czoło.

— Ach, kochanie, daj mi spokój — mówi mąż gorzko się krzywiąc — już będę miał dosyć kłopotu z wyjaśnieniem jej, kto ty jesteś...

### W WOJSKU

— Mojżesz Pomeranc, jaka jest największa kara w wojsku?

Kara?... Aha... już wiem... Karabin!



### PRĘDKI

— Pisz pan wolno! Rachuje pan jeszcze wolniej! Czy pan wogóle coś prędko robi?

— Owszem — odpowiada pracownik.

— Co?

— Bardzo prędko się męczę!

### OMYŁKA

Pewien fabrykant szyldów kazał swemu, stale urzędnemu pomocnikowi przymocować na sklepie z losami na loterię szyld z napisem: "Szukasz Szczęścia? Wstąp na chwilę".

Pomocnik wykonał sumiennie polecenie, ale przez pomyłkę przymocował szyld na sklepie sąsiednim.

I za chwilę przechodnie ze zdumieniem oglądali zakład pogrzebowy, ozdobiony zachęcającym napisem: "Szukasz szczęścia? Wstąp na chwilę"!



### A WIĘC

W hotelu zjawia się gość, pijany do ostateczności, wynajmując pokój i, kładąc się do łóżka mówi:

— O jedenastej rano trzeba mnie obudzić.

— Już jest jedenasta.

— A no, to budź pan, budź pan już.

### INTELIGENTNY

— Mój syn stracił pięć kilo po operacji ślepej kiszki. Nigdy nie przypuszczałbym, że ona aż tyle waży.

### UŁAMKI

— Gdy od całości odejmę czwartą część, to ile mi zostanie? — pyta nauczyciel.

Ogólne milczenie.

Nauczyciel wyjmując brzoskwinę z kieszeni i ciągnie dalej.

— Patrzcie dzieci, dzielę tę brzoskwinę na cztery części, zjadam jedną część, potem drugą, potem trzecią, na koniec czwartą. Cóż mi zostanie?

Uczniowie, patrząc ze smutkiem na znikający ostatni kawałek brzoskwini.

— Zostanie pestka panie profesorze.



### POCZĄTEK

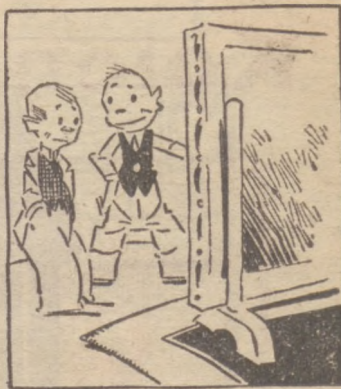
— Postanowiłeś zatem wyrzec się alkoholu?

— Tak i kupiłem już nawet scyzoryk bez korkociągu.

Bogaty młodzieniec ożenił się, wbrew zakazowi rodziców, ze skromną aktorką.

— Jak zawiadomisz o ślubie rodzinę? — pyta go jeden z przyjaciół.

— Najpierw ją zawiadomię, że umarłem, a potem powoli wyjawię całą prawdę.



### ODWAŻNY

— Czy nigdy nie byłeś odmiennego zdania, aniżeli twoja żona?

— Bardzo często nawet. Tylko ona o tym nie wie.

### W OBORZE

Gospodarz czeka na zjawienie się cielęcia, ale, że sprawa przeciąga się, więc jest zniecierpliwiony. Widząc to, sąsiad mówi do niego:

— Mnie się zdaje, że ta twoja krowa nie chce się ocielić. Bo gdy się obejrzy i zobaczy ciebie, wydaje się jej, że się już ocieliła.



### POMOCNICA DOMOWA

— Jak się to dzieje, Kasiu, że Kasia nigdy nic nie robi, jak wchodzi do pokoju?

— To wszystko dlatego, że wielmożna pani zawsze nosi gumową podeszwę.



### SPRYCIARZ

Zebzak: Może litościwa osoba ma dla mnie jaką drobnostkę?

— Żałuję mocno, ale sam nie mam nic.

— Taak? Przecież przed chwilą był tu listonosz pieniężny...

### POMYSŁOWY URZĘDNIK

— Zwalniał się pan już z różnych powodów: pomagał pan żonie przy przeprowadzce, miał pan pogrzeb teściowej, ostatnio zaś z racji choroby dziecka! O co teraz chodzi? Żenię się, panie dyrektorze.



### W RESTAURACJI

Gość (w restauracji): — Dlaczego ten pies przez cały czas obiadu siedzi koło mnie?

Kelner: — Pan dostał talerz, na którym on zwykle jada.

### SKRUPULAT

— Piękny motocykl! Ukradziony?

— Nie, kupiony za 2,000 złotych!

— A te 2,000 złotych? — Ukradzione!

### SZKOCI

W pewnym piśmie szkockim ukazało się następujące ogłoszenie:

"Inwalida bez prawej nogi szuka partnera, któremu brak lewej nogi, w celu wspólnego zakupowania butów, skarpetek, kaloszy i getrów. Numer obuwia 39".

### U RZEZBIARZA

— Tatusiu, ja też chciałbym mieć takiego konika jak ten pan.

— Wynos się smarkaczu, czy nie widzisz, że ten pan pozuje tylko do modelu pomnika, jaki wyrzeźbiłem?!



### NERWY?

— Jak się panu podoba nowa koleżanka?

— Strasznie nerwowa. Ledwo siadzie przy maszynie, już się bierze do pisania.

### ZROZUMIAŁ

Sierżant wyklada żołnierzom: A więc, gdy który z was stoi na straży jakiegoś obiektu i widzi zbliżającą się jakąś podejrzaną osobę powinien zawołać trzykrotnie: — "Stój, albo strzelam!" Kuter-noga powtóż to.

— Gdybym stał na straży i widział kogo, tobym krzyknął: "Trzykrotnie stój albo strzelam!"

— Żle! Nie rozumiecie mnie! Macie krzyknąć tylko jedynie stój ale trzy razy po sobie.

— Wykrzyknąłbym panie sierżancie: "jedynie stój, ale trzy razy po sobie!"

## ŻEBY NIE TA BUŁKA

Była późna noc. Bar "Pod gazem" był jeszcze czynny, a przed barem stała dorożka z drzemiącym dorożkarzem na koźle.

— Dzień dobry panu, panie koń! — zwrócił się do dorożkarza mocno wstawiony jegomość.

— Panie koń? — odparł dorożkarz. — To mów pan do tamtego.

I wskazał batem swego rumaka.

— Widzisz pan — odpowiedział pijany jegomość — z tamtym frajerem ja wcale mówić nie chcę. Świnia i tyle.

— No, powiedz pan sam, panie koń, czy to nie świnia? Stoi bez spodni, odwrócił się do mnie tyłem i jeszcze ogonem macha.

— Nie jestem koń, tylko dorożkarz.

— A, przepraszam bardzo, panie dryndziarz, ale mi się w oczach dwoi. Zdawało mi się, że masz pan cztery nogi.

— Powiedz mi pan wobec tego, co mam czynić, bo chcę koniecznie być "Pod gazem".

— Już pan jest pod gazem!

— Ale ja chcę być w barze "Pod gazem".

— Bar jest tuż koło pana.

— Gdzie?

— A, tutaj!

— No, dobra. Dziękuję panu, panie koń. To jest — tfu, przepraszam — chciałem powiedzieć "panie dzieliworek".

Wstawiony jegomość wszedł do baru i zbliżył się do mężczyzny w średnim wieku, sączącego samotnie piwko przy stoliku.

— Przepraszam najmocniej — rzekł przybył. — Kwitek

się nazywam. Czy pan Kowal?

— Nie.

— No to nie trzeba — odparł pan Kwitek i rozsiadł się wygodnie.

— Pan pije piwko?

— Jak pan widzi — odparł piwosz.

— Pij pan sobie na zdrowie — rzekł pan Kwitek. — Cudem pana tu znalazłem. Gdyby nie ten koń, co tam drzemie na ulicy, byłbym nie trafił. To jest nie koń, chciałem powiedzieć, tykło sałata.

— Kto?

— Sałata, nie rozumie pan? Dzieliworek!

— Bardzo mądry koń, powiadam panu, tylko świnia. Stał bez spodni, odwrócił się do mnie tyłem i ogonem machał.

A po drugie zdawało mi się, że ma cztery nogi, a miał tylko dwie.

— Kto?

— Koń. To jest, chciałem powiedzieć, dryndziarz! Ale powiedz mi pan, jakim sposobem ten dryndziarz machał ogonem? Nie mogę tego zrozumieć.

— Ja też nie.

— No widzisz pan. Czy pan się przypadkiem nie nazywa Kowal?

— Nie.

— To poco ja z panem tyle czasu gadam? Ja Kowala szukam.

Pan Kwitek podniósł się. — Wstawiłem się, psiakość — rzekł. — Ale nie wódka.

Wypiłem dwadzieścia trzy kieliszki, a potem zjadłem bułkę. I tą bułką się tak urządziłem!



# Dlaczego Francja Chce Znieść Swe Kolonie Karne "ŻYWYCH TRUPÓW"



Pięciu zbiegów z Wyspy Diabelskiej, którzy dostali się morzem do Trinidad i wypoczywają na wywróconej łodzi. Więźniowie, którzy się dostaną do Trinidad, mogą tam pozostać przez pewien czas, a potem muszą ruszać dalej.

**W** GŁĘBI swoich drżących serc i smutkiem wypełnionych mózgów, 5,000 więźniów karnej kolonii francuskiej marzy o czemś, co fantastycznie nazywa "La Belle" — coś pięknego.

"La Belle" nie jest piękną dziewczyną. "La Belle" nie jest również bogactwem, albo pozycją. "La Belle" to zwykła ucieczka. Ucieczka z więzienia, lecz przeważnie ucieczka beznadziejna. Ucieczka jedynie z śmiercią płonącego przed-piekła, karnej kolonii.

Aby uciec, niema wielkich trudności, a nawet wcale ich niema. Administracja "bagne" zamknie oczy. Strażnicy, czy klucznicy — pozwolą zbiedz. Tajnie zbierane są fundusze na "La Belle", gdyż nie jest ona tania. Więźniowie setkami uciekają corocznie. Dużo jednak z nich powraca, lub przyłapanych zostanie. Najwięcej jednak ginie.

Trzy są wielkie drogi, prowadzące do wolności z tego centralnego więzienia, jakim jest St. Laurent. Jedna z nich prowadzi przez rzekę Maroni, a potem lądem, wprost w głąbie nieprzebranych dżungli. Rzeka Maroni rozdziela dwie Guiany — francuską i duńską. Może być, że więzień o zdrowym, wytrzymałym sercu przezwycięży trudności i dostanie się do duńskich portów, lub do angielskiej Guiany na północno-zachodzie, a może nawet dotrze do Wenezueli, poza Orinoco.

Najtrudniejszą rzeczą w tej przeprawie, jest dżungla. Dzikie bestie czyhają na życie podróżnika. Gady niebezpieczne, nawet niewielkie, zabijają jednym dotknięciem swego żądła do bosa stopy. Brak żywności. Zato febra jest zawsze. A i dzikie szczepy napawają obawą.

Ucieczka przez tę ziemię trądem zięjącą, jest jedną z najokrutniejszych. Nagi człowiek, może brnąć przez całą noc, aby się wreszcie rano znaleźć w tym samym miejscu z którego wyszedł. Błądził on dookoła jak skazówka zegara, co zresztą jest prawem natury. W tej dżungli, człowiek wciąż zatacza koło.

Po 10-ciu najwyższych dniach takiej podróży "bagne", wydaje się niebem, dla wyczerpanego, głodnego, trzęsącego się od żółtej febrы, — błądzącego w ciemnych borach rozbitka. Oddałby on siebie dobrowolnie z powrotem w ręce straży, z największą radością. Mrok tych ponurych drzew, oraz groza wrogów, jakich mnóstwo czyha ze wszystkich stron na człowieka — to za dużo nawet na najwytrzymalsze nerwy. Tru-

dno, bardzo trudno dla zbiega znaleźć drogę w tej dżungli do wymarzonej "La Belle".

I inne drogi nie są łatwe. Na ogół za ledwie jeden na dziesięciu, potrafi znaleźć wyjście. Reszta ginie. Ginią z pra-



gnienia, z głodu, wyczerpania, gorączki, stają się pastwą rekinów, aby co się często zdarza — po wielu trudach wrócić i potem znów zacząć na nowo.

**D**RUGA droga wymaga pomocy, to znaczy pieniędzy. Handlarz nadbrzeżny, szmugler, płynący w swej "tapouille" wzdłuż równika do Brazylii, może podjąć rozbitka, zrzuconego na łaskę fal oceanu w swej łupinie z orzecha, daleko od ujścia, gdzie rzeka Maroni wlewa swoje wody do Atlantyku. On zawiezie rozbitka do Para lub czasem dalej. Sprawa jest trudna, ale, gdy uciekinier posiada znajomość jakiego fachu, może być przyjęty.

Trzecim takim wielkim traktem wyzwoleniczym — jest ten, który prowadzi do Wenezueli, na Trinidad. Jest to normalna droga niedużych okrętów, ponieważ jest to zwykły kurs handlowy.

Na podstawie prawa — czas od piątej wieczorem, do piątej rano, należy do więźnia. Podzwrotnikowa noc, zaczyna się punktualnie o godzinie 6-tej.

Zaraz, gdy tylko ziemię okryje zmrok, grupa więźni dąży do nadbrzeżnej wioski. Straży zupełnie z tej strony niema. Widocznie "obrobiona".

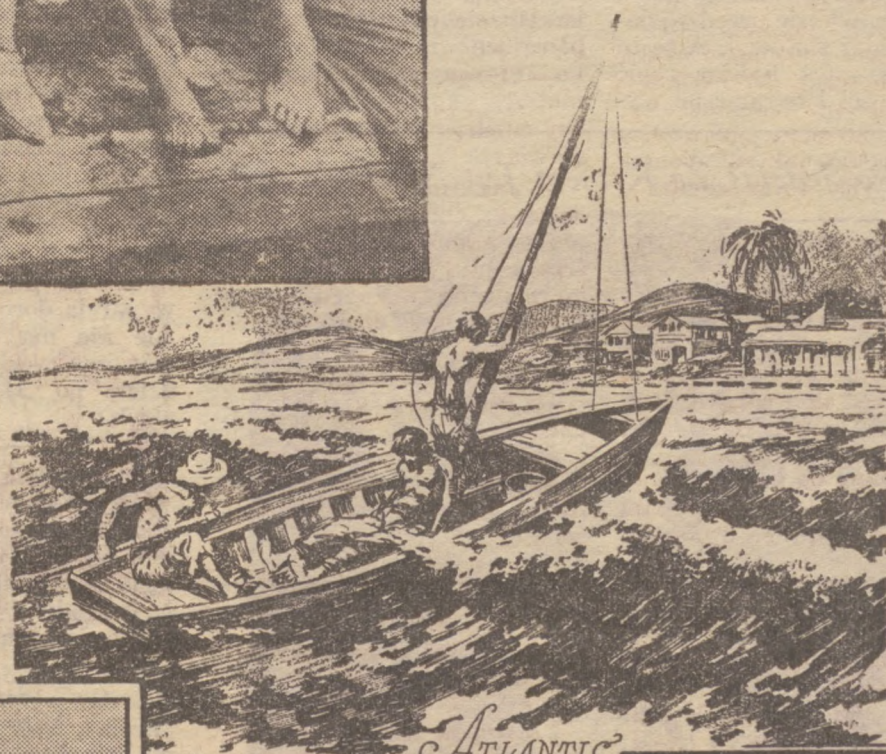
U brzegu wielkiej rzeki, miotana falami, uwiązana jest niewielka łódź,

w połowie ukryta w trzcinach. Tą łodzią mają oni popłynąć do pobliskiego oceanu. W gąszczu zarośli oczekuje jedyny "marynarz" — czasem chińczyk, najczęściej jeden z czarnych tubylców, lub wogóle jakieś indywiduum, żyjące w niezgodzie z prawem. W łodzi tej, znajduje się niewielki zapas żywności, jaki ów marynarz potrafił zrobić. Łodzią tą, po uiszczeniu zapłaty, popłyną więźniowie w dół rzeki. Przez kilka dni, ukryją się w trzcinach nadbrzeżnych, aby zmylić pogoń motorówki, któraby za nimi została wystana. Potem wyruszą na morze, aby się dostać do Trinidad. Na morzu zacznie się piekło cierpień. Pragnienie, febra, głód i najstraszniejszy upał, który zwala z nóg najsilniejszych i zawsze jest zapowiedzią burzy na oceanie.

Spokojni mieszkańcy Trinidadu, przechadzając się po wybrzeżu morskim, często napotykać samotną łódź, którą wiatry przypędzą do brzegu. Czasem w tej z pootłukanymi o skały bokami łodzi, znajdują się tylko szkielety. Czasami znajdują się żywi, również wyglądający jak szkielety. Często tych uda się jeszcze przywrócić do życia i uratować. Wypoczną przez kilka dni lub tygodni i ruszą dalej. Trinidad jest rajem dla tych, którzy uciekli z piekła karnej kolonii w Cayenne.

**T**RINIDAD jest wyspą należącą do Anglii. Nie mogą na niej znaleźć przytułku więźniowie. Lecz nie zwraca ich ona władzom francuskim. Jedynie pociągnięci są pod oskarżenie o włóczęgostwo. Lecz wtedy przychodzi im z pomocą dobroczynność. Reprezentanci Stowarzyszenia Howarda, wysłańcy Armii Zbawienia, zajmą się nieszcześliwymi. Jeżeli potrzeba, znajdzie się nawet dla nich nowa łódź. Sklepy złożą dla nich daninę i po wypoczynku, wyprowadzą ich dalej, już w daleko lepszych warunkach. Pierwszy najgorszy etap przezwyciężony. Następny to Wenezuela.

Dlaczego Wenezuela? Myśl cofa się do czasów nieodżałowanego Juan Vincente Gomeza, dyktatora z tych czasów, kiedy w Wenezueli brak było robotni-



Najniebezpieczniejszą jest droga przez gąszcz nadbrzeżnej rzeki Maroni, pełnej aligatorów, w dżungli francuskiej Guiany

Wielu wybiera drogę przez morze, ale też i wielu ginie w tej drodze. Mapa wskazuje tę drogę, jako jedną z najlepszych.

ków z powodu odkrycia oleju. Kandydaci do pracy, chętnie wówczas byli witani.

Dziś warunki są inne. Wenezuela nie przyjmuje więcej uciekinierów z francuskiej Guiany. Policja wyprawia ich z powrotem.

Może być, że wiadomość ta nie doszła jeszcze na wybrzeża Maroni, że Wenezuela już nie jest tą krainą, w której można było znaleźć — tak jak znalazł fabułą legendy okolicy Dr. Bougras — wolność i dobrobyt.

Lekarz ten z Marsylii, skazany był na "bagne" za zamordowanie swego długoletniego przyjaciela. Uciekł on do Wenezueli.

Niedługo potem dowiedziano się we Francji, o ucieczce lekarza. Co dziwniejsze, przyszły wieści, że został on zamianowany jako lekarz do chorego starego dyktatora Gomeza. Stał się on wpływowym człowiekiem. Jego profesja w Caracas, dała mu możliwość życia.

Prawda w Caracas jest doskonała szkoła medyczna, bez pozwolenia której nie wolno praktykować medycyny.

Dr. Bougras przytułił się jednak na niewielkiej wysepce, na której nieźle mu się powodziło. Pomimo lat, dr. Bougras żyje w pamięci więźniów karnej kolonii, jako ten, który wygrał wielki los na loterii życia i zdobył "La Belle" tę pełną iluzji, a zarazem i fatalizmu "La Belle" — zwąca się wolnością.



# Życie w Stolicy Polski—Warszawie

## Widziane Nie Oczyma Turysty, Ale Mieszkańca — Oszczędność — Taksówki — Cyganie Wybierają Króla

Warszawa, w czerwcu. — Warszawa, jak zresztą każda stolica, ma to do siebie, że człowiek pokreśli się po ulicach i nie wiadomo jak i gdzie, wyda parę złotych. Tramwaj raz i drugi, przejazd autobusem, pół czarnej w kawiarni, odświeżenie suchego języka lodami, czy szklanka lemoniady i wracasz, człecz, do domu z bardziej pustym portfelem. Takie już jest życie mieszkańca stolicy, miasta bardzo rozległego, w dodatku miasta, w którym conajmniej połowę interesów załatwia się w kawiarni, albo barze. No, i pieniążki płyną, płyną...

Wszystko ma jednak swoje granice. Warszawiacy zorientowali się, że nadszedł czas, by oszczędzać, a w każdym razie, by zastanowić się przed wydaniem każdej złotówki. A że to taka przywara ludzka robić oszczędności i ograniczać wy-

datki od małych rzeczy poczynając, więc n.p. kupuje się paczkę "Egipskich" i przeraabia je na krótsze papierosy w gilzach, panie znów chodzą rzadziej do salonów kosmetycznych, panowie zaś golą się odtąd w domu. I krzyczy się, że automaty telefoniczne są za drogie (rozmowa 20 gr.), że tramwaje winny potanieć, że czas już, by przejazdy taksówkami potaniały, bo są drogie, a zresztą potaniecie taryfy przyczyni się do wyparcia nareszcie dorożek konnych.

Trudno statystycznie stwierdzić, jak bardzo te oszczędności dotknęły fryzjerów, sklepy z papierosami i t. d., ale pewne jest, że odczuły to taksówki. Zwiększa od chwili, kiedy ukazały się małe "Fiaty", pobierające zamiast złotówki tylko 70 groszy za pierwszy kilometr.

Gdy ktoś poczuje uderzenie "po kieszeni" zaczyna się zastanawiać dlaczego. Podobnie postąpił związek właścicieli taksówek i na walnym zebraniu uchwalił obniżkę obecnej taryfy, bardzo zbliżoną do taryfy "Fiacików". A więc przy przejeździe jednej lub dwu osób 70 gr. za pierwszy kilometr i po 40 gr. za każdy następny, przy większej zaś ilości pasażerów 80 groszy za pierwszy kilometr i 50 gr. za następny. Taryfa nocna też będzie obniżona, mianowicie bez względu na ilość pasażerów 80 gr. za pierwszy kilometr i 50 gr. za dalsze.

Jak widzimy, obniżka jest bardzo poważna, wynosi bowiem 30%. Teraz przeprowadza się przeróbkę liczników i już wkrótce będziemy jeździli tanio. Może nawet taniej niż to zapowiada taryfa, bo już pojawiły się pogłoski, że tanie dotychczas i tak poszukiwane "pchełki" jeszcze bardziej obniżą taryfę do 35 gr. za kilometr. Gdyby za tą obniżką doszło w parze wycofanie wszystkich taksówek marki "Griszo" (gruchot), przynosiłoby to chwała naszej stolicy i grożących na gorszych brukach... rozsypaniem się — no, to wówczas można mówić o naprawdę wielkim postępie. A gdyby tak jeszcze potaniecie taksówek przyczyniło się do wyparcia dorożek konnych... Ale nie ma obawy! Ktoby wówczas wozził Żydów w niedzielę po Alejach Ujazdowskich?

Zastrzegam się, że następna wiadomość jest pogłoską, echem, biegnącym ulicami stolicy, od ust do ust, od ucha do ucha. Ale gdyby się sprawdziła, miałaby Warszawa wielką i niecodzienną sensację!

Oto cyganie przygotowują się do wyboru i koronacji "króla", któryby objął rząd po zmarłym niedawno Meteiaszu Kwieku. W barakach cygańskich przy ulicy Dworskiej toczą się narady i czyni się gorączkowe przygotowania. — Najpoważniejszym kandydatem jest Rudolf Kwiek, teść poprzedniego władcy cyganów. Jest tak pewien wyboru, że — podobno — udzielił ostatnio "audiencji" dziennikarzom zagranicznym i zapoznał ich z programem uroczystości koronacyjnych.

Jeżeli tylko władze policyjne dadzą pozwolenie, elekcja odbędzie się wkrótce w stolicy przy udziale publiczności, ale — oczywiście za opłatą. Niezwykła ceremonia odbyłaby się na jednym z boisk sportowych z udziałem kilkuset cyganów z całej Europy. Podczas elekcji przygrywać mają doborowe zespoły cyganów.

Obecnie 16 mężów zaufania dokonuje wyboru kolegium elekcyjnego, składającego się ze 150 członków, których zadaniem będzie powołać nowego "króla". Rudolf Kwiek jest pewien, że jemu przypadnie najwyższa godność cygańska, choć prawo do kandydowania mają Janos Kwiek, Bazyli Kwiek i Kazimierz, syn zmarłego Meteiasza.

Nie wiadomo, jak władze ustosunkują się do prośby cyganów, mieszkańcy stolicy natomiast chętnie widzieliby tak niezwykłą sensację w swych murach. Frekwencja na boisku elekcyjnym byłaby mroźna. A przecież jeszcze ten i ów przejechałby się pociągiem popularnym do Warszawy, byle przyjrzeć się niecodziennemu wyborowi i posłuchać oryginalnej nareszcie muzyki cygańskiej.

## Jamboree Skautów Amerykańskich



Do Washington, D. C. zjechało się przeszło 30,000 skautów, nietylko amerykańskich, ale i zagranicznych, by brać udział w jamboree. Rozmieszczeni zostali w namiotach, wzniesionych obok kapitolu. Fotografia powyższa przedstawia oddział skautów z Mc Keesport, Pa.

## WIĘZIENIE MILCZENIA I ZAPOMNIENIA

Jak Wygląda Wyspa Alcatraz, Miejsce Zesłań Zbrodniarzy Amerykańskich

W POBLIŻU San Francisco sterczy wysoko ponad wodą niewielka, skalista wyspa Alcatraz. Tutaj znajduje się osławione więzienie dla niepoprawnych zbrodniarzy, nieszkodliwych do końca życia. Nie stosuje się tam tortur średniowiecznych, a przecież więzienie w Alcatraz jest najokropniejszą torturą i najbardziej wyrafinowaną karą, jaką umysł ludzki zdołał wymyślić w odwecie przeciwko burzycielom porządku społecznego. Alcatraz jest regulowanym z precyzją zegarkową piekłem dantejskim.

### Prawem w Alcatraz jest milczenie

Nie ma żadnej nadziei wydobyć się. Życie w Alcatraz jest mechaniczną beznamiętnością. Z okien więźniowie widzieć mogą tętno życia. Prawie namacalnie blisko, zaledwie w odległości półtora kilometra widać przepiękną zatokę w San Francisco, białe żaglowce, palmy... W obrębie wałów utwierdzonego więzienia w Alcatraz nie ma żadnej roślinności, wszystko ma tam techniczną celowość krzesła elektrycznego.

Jeżeli Alcatraz ma coś fantastycznego, to są to jego urządzenia obronne przeciwko napadom z zewnątrz i ucieczką z wewnątrz. Baszty więzienia najeżone są armatami, które udaremniają wszelkie zbliżanie się do wyspy. Przeciwko samolotom są tam działa zenitowe.

Przeloty nad Alcatraz są bezwzględnie zakazane. Nocą świecą reflektory.

Lokatorami więzienia Alcatraz są groźni bandyci jak znany Al Capone, Kelly, Alvin Karpis, Collier i inni. Bandom ich mogłoby się pewnego dnia przysnąć otwarcie wrót więziennych. Dowody niesłychanej zuchwałości i technicznych zdolności złożyły one niejednokrotnie przy błyskawicznych napadach na banki i rozbijaniu trezorów pancernych. Ale Alcatraz jest cudem technicznym i twierdzą nie do zdobycia. Tak samo ucieczka więźniów jest niemożliwa. Najbardziej skomplikowane urządzenia sygnałowe anonsują najdrobniejszą nieregularność. Każdy punkt terenu więziennego znajduje się pod ostrzałem karabinów maszynowych.

### Dyscyplina jest nieubłagana surowa

Więźniom nie wolno rozmawiać ze sobą po za krótkim czasem rekreacyjnym. A przecież udało się raz pewnemu więźniowi wydostać się po za mury więzienia. Radość jego

była bardzo krótka. Po kilku minutach padł on trupem w ogniu kilku karabinów maszynowych.

Wizyty zasadniczo są zabronione. W razach wyjątkowych, gdy więzień prowadzi się wzorowo, pozwala się żonie lub matce więźnia raz po raz na odwiedzin. Goście są oczywiście także pod dozorem uzbrojonych dozorców. Ukryty reflektor elektryczny zdradza natychmiast, czy mają przy sobie jakie przedmioty metalowe, choćby to był tylko scyzoryk lub pilniczek. Pokój przyjęć przedzielony jest ścianą z płyt pancernych, zaopatrzoną w okrągłe okienko z grubego szkła. Rozmowa odbywa się telefonicznie.

Do regularnych gości należy żona Al Capone'a. Zarządza ona zdobytym w krwawych napadach majątkiem swego męża i — pomnaża go. Tajemniczy protektorzy uchronili łup Al Capone'a od konfiskaty. W krótkich rozmowach małżonkowie mówią o — interesach giełdowych. Al Capone jest znienawidzony przez współwięźniów. Nie mogą oni mu darować, że kiedyś drżeli przed nim. Rok temu jeden z więźniów napadł na niego w palni i zadał mu nożycami kilka ran w plecy.

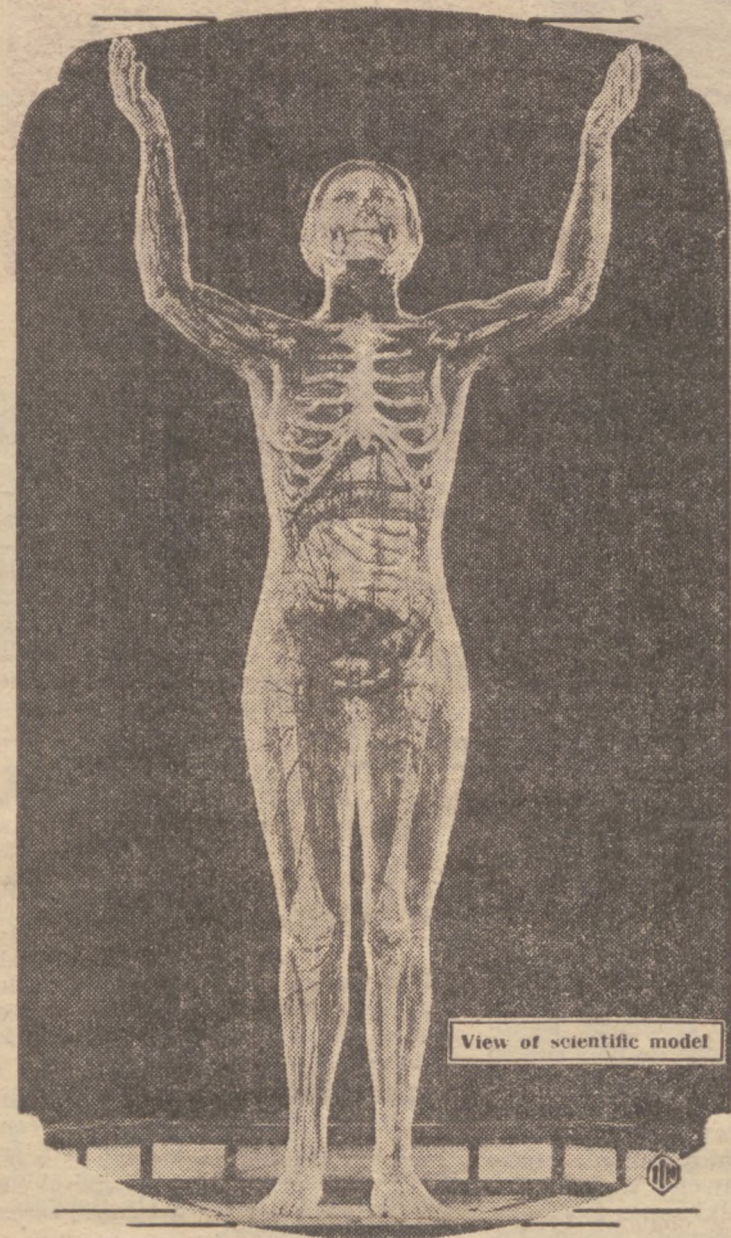
Stosuje się trzy stopnie kar za niesubordynację, izolacja w celi, pozbawienie zezwolenia na czytanie i zajęcia, wrzeszczenie umieszczenie w celi dniem i nocą jasno oświetlonej. Jest jeszcze czwarty stopień, piwnica. Przypomina ona torturę średniowieczną, stosowaną w sposób niesłychanie rafinowany. Piwnica jest cała z betonu i nie posiada najdrobniejszego mebla. Posadzka jest jej pochyla. Przez sufit można wpuszczać wodę. Zależnie od stopnia kary napuszcza się mniej lub więcej wody. Zrazu tylko tyle, że górna część posadzki pozostaje suchą. Późniejszym pobycie w piwnicy nawet najbardziej zatwardziały penitent kruszeje.

Najdotkliwszym cierpieniem moralnym więźniów w Alcatraz jest uczucie, że są zapomniani, że są niczym. Dawniej byli głośnymi bohaterami, gazety rozpisywały się o nich szeroko, bano się ich. Mieszkali oni w pałacach na Florydzie, bywali w klubach itd. Dzisiaj są bez nazwiska.

Al Capone jest na 20 lat numer 18-ty. Zapomniani aktorzy.

Nazywają Alcatraz Gayenne amerykańskim. Porównanie to kuleje. Gayenne jest w porównaniu z Alcatraz wyspą nadziei.

## Kto Powiedział Że Kobieta Jest Niezbadaana?



View of scientific model

Najnowszym przykładem bystrości umysłu i pomysłowości człowieka, jest "przejrzysta kobieta", dzieło 20 lat badań i pracy uczonych, artystów i lekarzy, zatrudnionych przez Muzeum Hygieny w Dreźnie, Niemcy.

Obecnie naturalnej wielkości figura, zrobiona z materiału, znanego jako "cellhorn", znajduje się na wystawie Great Lakes w Cleveland, O. Na figurze tej dostrzegamy jest każdy organ, nawet najdelikatniejszą żyłkę systemu cyrkulacyjnego. Skonstruowanie owej "przejrzystej kobiety" kosztowało \$20,000.

W jaki sposób zrobiono tą figurę? Pierwszą czynnością było zdjęcie fotograficzne wszystkich organów; następnie negatywy zostały przeniesione na siatkę w celu ich powiększenia, poczem je odrysowano. Posługując się tymi rysunkami, jako wzorami, rzeźbiarze wykonali poszczególne części.

Nad pracą tą czuwali lekarze, by

każdy organ, arteria i żyła były naukowo akuratanne pod względem koloru, wielkości i wymiaru.

Kiedy już poszczególne sekcje zostały skonstruowane z cellhorn'u, wykonano model całej figury z plastu paryskiego, z tego zaś modelu znowu zrobiono skórę, na jaką użyto materiał "cellhorn".

Sztuczna ta skóra została następnie pocięta na małe kawałki by można nią jak najdokładniej pokryć wszystkie sekcje. I tak powstała owa "przejrzysta kobieta".

Przez odpowiedni, nader skomplikowany system świetlny, wbudowany w figurę, każdy wewnętrzny organ jest kolejno oświetlany, wobec czego cała figura przedstawia się w naturalnych kolorach. Kiedy kolejno każdy organ zostaje oświetlany, równocześnie automatycznie ukazuje się nazwa jego na szkalnych tablicach, umocowanych na podstawie, na jakiej owa figura jest umieszczona.



# Pół Tysiąca Lat Temu Urodził Się Wit Stwosz

**Ten Genialny malarz, rzeźbiarz rotgisarz sztycharz i architekt-inżynier był Polakiem — Spotwarzony i odarty ze sławy przez Niemców, umarł w nędzy wśród wrogów naszego narodu**

Dla Dziennika Związkowego opracował Robert F. Lessel.



Robert F. Lessel

Nie wszyscy polscy publicyści jeszcze lat temu kilkanaście zgadzali się na jedno, — że Wit Stwosz był Polakiem, pomimo, że ten genialny artysta pochodził z polskiej rodziny. Niektórzy utrzymywali, że Stwosz przybył do Polski z Norynbergii, inni, że był to zniemczony Polak.

Jako dowód tych twierdzeń, miały im służyć niemieckie kroniki o dziełach Stwosza, z czasów gdy Niemcy jeszcze uważali go za swego, i że jego arcydzieła umieszczono w bawarskiej Ruhmeshalli.

Ale znaleźli się wśród naszego narodu tacy, którzy tej sprawie poświęcili wiele czasu i pieniędzy, wydając dużo dzieł o Stwoszu i jego arcydziełach, i w zupełności obalili twierdzenia i argumenty słabych na duchu, którzy powtarzali za Niemcami, że Stwosz nie był Polakiem.

Ród Stwoszów pochodził z polskiego Śląska, ze wsi Olbrachcice. Ojciec Wita prze-

niósł się na Spiż, w okolice Bardiowa, tam się ożenił, i potem na stałe osiadł w Krakowie, gdzie urodził się Wit.

Ojciec jego oddał go do nauki "pożłotnictwa" do jednej ze szkół, jakie w początkach XV-go wieku założył w Krakowie Henryk Parler i inni artyści o wybitnych cechach sztycharstwa francuskiego, których do Polski sprowadził król Kazimierz Wielki.

Tam uczył się i wzorował na rzeźbach szkoły francuskiej Wit Stwosz.

Urodził się w Krakowie w roku 1438-mym, jak świadczy o tym ówczesny kronikarz Neudoerffer, który oglądał wspaniałe dzieła tego artysty, wykonane w Krakowie, i potem w Norynberdze, gdzie umarł w roku 1523. Wit Stwosz pozostawał i tworzył swoje arcydzieła w Krakowie do 33 roku życia. Do Norynbergii pierwszy raz przeniósł się w roku 1475-tym, jak twierdzi kronikarz Neudoerffer, który był przyjacielem Stwosza.

W Norynbergii nie znalazł on zadowolenia ale same trudności, to też w dwa lata później — w roku 1477-ym przy-

jechał do Polski i pozostał do roku 1486-go. A ponieważ w tym okresie czasu miały się zmienić stosunki i warunki w Norynbergii, jak twierdzili wysłannicy rady miejskiej tego miasta którzy zwrócili się do Wita Stwosza z prośbą, ażeby przyjechał z powrotem, dając Stwoszowi kilka większych zamówień, jak wykonanie sarkofagu dla trumny patrona Norynbergii św. Sebalda. Niestety, bo i tym razem ten genialny artysta zawiódł się na uczciwości Niemców.

Wykonał on rysunek i drewniany rzeźbiony projekt na wzór krakowskich sarkofagów za co rada miejska wyraziła mu uznanie i obiecała poważną sumę jako wynagrodzenie, lecz później projekt ten oddano do odlewu z brązu Niemcowi, Piotrowi Vischerowi, którego ówczesni niemieccy "uczni" ogłosili twórcą sarkofagu.

Niemieccy partacze nie umieli dorównać w sztuce Polakowi, więc postanowili zniszczyć go i zniszczyć materialnie. Sposobność do tego znaleźli Niemcy, gdy Wit Stwosz zażądał od rady miejskiej należytej mu sumy trzech tysięcy złotych za wykonane prace.

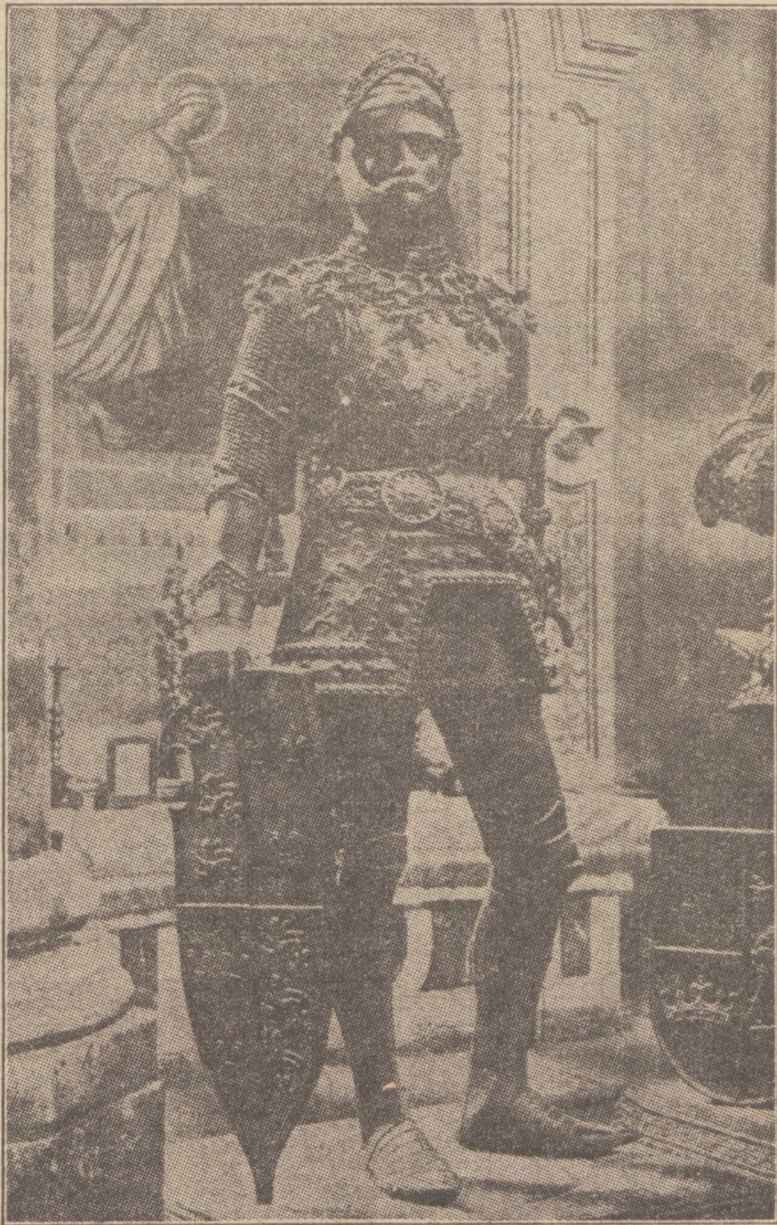
Oskarżono Stwosza o sfałszowanie podpisu niejakiego Bonera, partacza rzeźbiarskiego, na wekslu i wytoczono mu proces. Oskarżenie było fałszywe, jak dowodził Stwosz, lecz niemieccy sędziowie uznali go winnym i potępił przez wypalenie znamienia skazanego za zbrodnię na prawym policzku.

Po haniebnym wyroku w r. 1503-cim, Stwosz usuwa się w zacisze i pospiesznie pracuje nad wykonaniem rzeźby z tytułem "Sędzia Niesprawiedliwy", dokładnie odzwierciedlając fałszywe oskarżenie przeciw niemu i podstęp nieuczciwych Niemców. Rzeźba ta po dziś dzień znajduje się w muzeum w Norynbergii, lecz Niemcy udają, że nie wiedzą jej znaczenia i kto jest wykonawcą tego dzieła.

Podobnie miała się sprawa ze spiżowymi posągami na grób cesarza Maksymiliana w Insbruku. Dokument historyczny, — dzisiaj w rękach polskich — stwierdza, że Stwosz po kilku latach bezczynności powraca na pole pracy. W roku 1514-ym wykonuje modele spiżowych postaci i odlewa je w brązie. Niemieccy "uczni" przypisują wykonanie wszystkich posągów kilku innym ale nie Stwoszowi, nawet polskiej księżniczki — Cymbarki Mazowieckiej.

O posagu angielskiego króla Artura Dziennik Związkowy pisał kilka lat temu, gdy gipsowy odlew był wystawiony w oddziale rzeźb w Chicaguskim Instytucie Sztuki. Na odlewie widniała tabliczka z objaśnieniem, że posąg spiżowy wykonał Piotr Vischer.

Zapytany w tej materii p. P. kustosz oddziału rzeźb Instytutu sztuki powiedział, że na-



Spiżowy Posąg Króla Artura

pis na tabliczce wyraźnie objaśnia kto wykonał posąg w brązie, a także dodał od siebie — że oryginał znajduje się w Berlinie.

Na objaśnienia — że posąg ten wykonał artysta Polak — Wit Stwosz, p. P. odpowiedział — "I never heard of him."

Niemcy nie tylko fałszywie napiętnowali go, ale prawie że wszystkie najcenniejsze jego dzieła przywłaszczyli sobie.

Skwapliwie zacierali monogramy tego artysty na arcydziełach, a gdy zatrzeć nie mogli, to uszkodzili w miejscu gdzie był monogram lub litery M. (e) F. (ecit) W. (ittus) S. (twosz).

I w Polsce znaleźli się tacy, którzy wierzyli w fałszywe niemieckie i fałszywe te głoszone jako niezaprzeczoną prawdę.

Zaprzeczyli tym fałszom wybitni literaci polscy, historycy, malarze, architekci i inni.

Za obalenie tych mylnych pojęć o Wicie Stwoszu należy się uznanie literatowi-publicyści Ludwikowi Stasiakowi, malarzowi Aleksandrowi Lesse- rowi, historykowi p. Lępkowskiemu, profesorowi St. Kutrzebie, którzy rzucili wiele światła w tej sprawie i dobitnie udowodnili, że Wit Stwosz, Polak, był twórcą wielkich arcydzieł, znajdujących się dzisiaj w muzeach i kościołach w Niemczech, Austrii i w Polsce, w kościele Mariackim, w katedrze na Wawelu, w innych kościołach i w podziemiach w kryptach katedry wawelskiej. Znajdziemy tam portret króla Łokietka wykuty w kamieniu na sarkofagu — mauzoleum królów — Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły z portretem — Tryptyk Bóg Ojciec i Chrystus na krzyżu na Wawelu — Posąg Chrystusa w Wielkim Ogroju — Dwaj

apostołowie — św. Piotr w Wielkim Ogroju — Zasnienie Bogarodzicy — wspaniały ołtarz w kościele Mariackim i Wielki Krucyfik tamże — mauzoleum króla Kazimierza Jagiellończyka na Wawelu — spiżowy portret Piotra Salomona w kościele Mariackim — spiżowy portret Piotra Kmity na Wawelu i piękna Predella w ołtarzu kościoła Mariackiego.

Predella w głównym ołtarzu w kościele w Salzburgu przedstawia drzewo wyrastające z piersi Jessego, i postacie na gałęziach, zaś predella krakowska nie jest w zupełnej całości, bo brakuje głównych figur Najśw. Panny i Jessego. Ugrupowania odmienne, ale każdy zauważy, że obie predelle robiła ręka ta sama. Predellę krakowską wykonał Stwosz gdy stale mieszkał w Krakowie, czyli, że jest wcześniejszą od salzburskiej.

Pomimo zabiegów i usilnych starań Niemców o zatarcie śladów polskiego artysty, geniusz Wita Stwosza promieniuje na dzisiejsze pokolenia. Wraz z nim promieniuje geniusz i drugiego wielkiego Polaka, którego Niemcy chcieli nam ukraść — Mikołaja Kopernika, wielkiego astronoma, urodzonego w roku 1473-cim, a więc w tym okresie, w którym żył i pracował Wit Stwosz.

Ponieważ Kopernik urodził się w Toruniu, a tą połączyć kraju zabrali Polsce Krzyżacy, Kopernika ochrzczono "Niemcem".

Ci dwaj wielcy w narodzie naszym — jeden co sztuką piękną podbijał serca uczciwe, drugi — że tak się wyrażę, — co kazał słońcu stać, a ziemi obracać się dookoła, przyświecać będą naszym pokoleniom i pokoleniom innych, tych, którzy żądni będą wiedzy, — jak dwa Wielkie Słońca Polskie!



Boner przekupujący sędziego — fragment z rzeźby "Sędzia Niesprawiedliwy"



# Ah! Ci Ludzie!

Rysuje  
Jefferson Machamer



## W RESTAURACJI

— Czy pan jest gospodarzem tego lokalu?  
— Tak.  
— Wobec tego proszę o przyniesienie papieru, pióra, atramentu.  
— Cóż się stało? Czy jakieś nieszczęście?  
— Zamówiłem jedzenie półtorej godziny temu i chcę spisać testament, zanim tu umrę z głodu.

## Na POCZCIE

Poste restante. Pawełek dochodzi do okienka.  
— Czy jest dla mnie list?  
— A pod jaką cyfrą?  
— "Niecierpiący zwłoki".  
— Owszem, list leży już od siedmiu tygodni!  
**ŚLUSZNA UWAGA**  
— Bój się Boga, jeździsz, jak wariat! Gotów jesteś wywołać katastrofę.  
— No, to co na tem stracisz? Przecież to mój samochód...

## WEDLE ROZKAZU

Pan Lampka i pan Bombka wstępują do handlu na kolację.  
— Jest ryba? — pyta pan Lampka.  
— Do usług.  
— Proszę dla mnie porcję.  
— Dla mnie też, tylko żeby nie śmierdziała! — dysponuje p. Bombka.  
Kelner, zamawiając: Dwa razy ryba, jedna ma nie śmierdzieć!

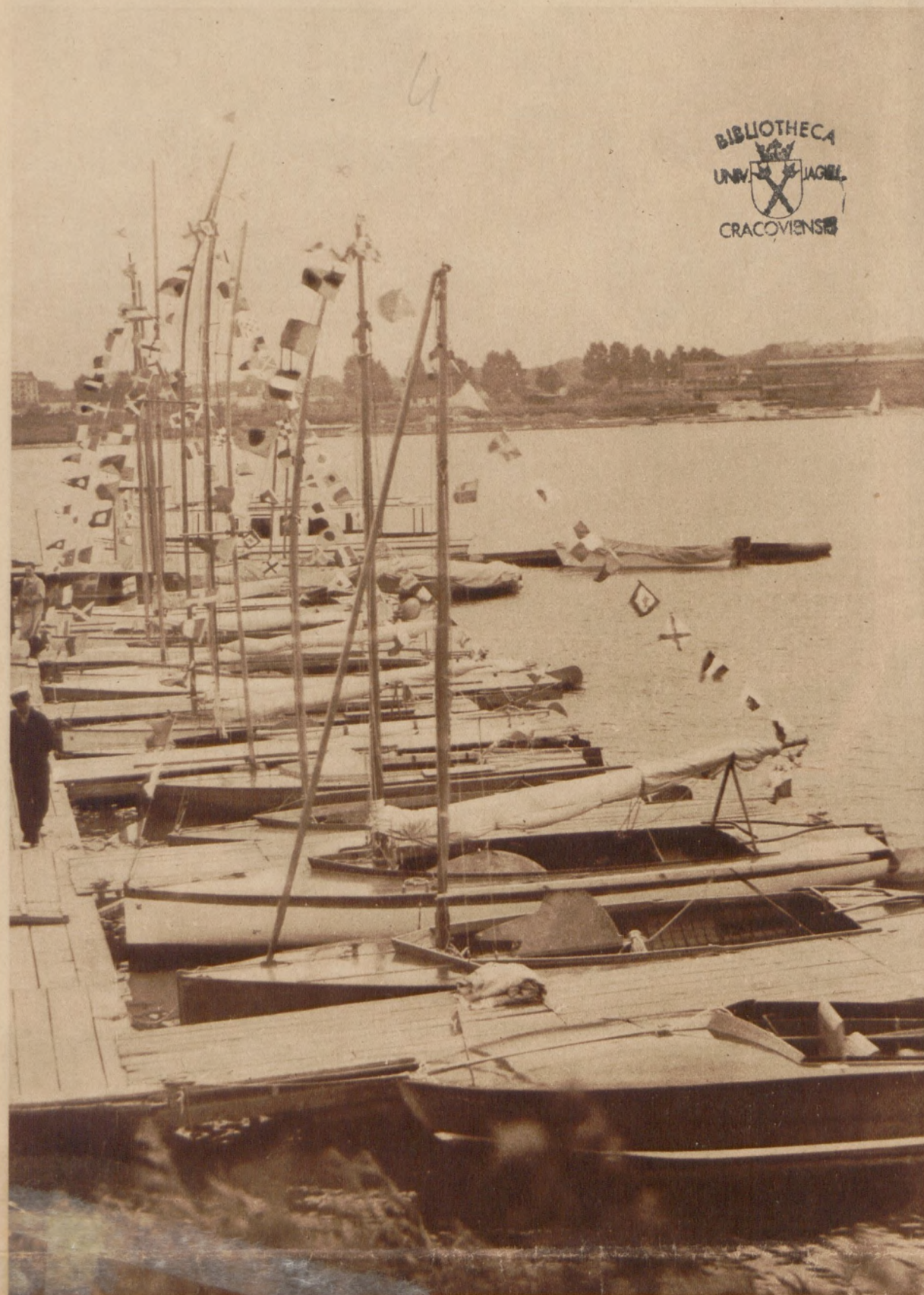
## ZAMUROWANY

Przed słupem reklamowym stoi "zawiany" jegomość i wodzi rękami po plakatach. Obeszliśmy słup dookoła, krzyczy: — Ludzie ratujcie. Zamurowali mnie.  
**RÓŻNICA**  
On: — Ta aleja jest fatalnie oświetlona.  
Ona: — Gdyśmy nie byli jeszcze po ślubie, to wydawała ci się zawsze zbyt jasno oświetlona...

## TO NIE ZARAŻLIWE

Mała Kryśka opowiada nauczycielce o nowym braciszku.  
— Pani przyjedzie zobaczyć mojego braciszka?  
— Chętnie — odpowiada nauczycielka — poczekam tylko aż mamusia Twoja będzie zdrowsza.  
Dlaczego? Nie ma pani czego się obawiać, to przecie nie jest zaraźliwe.





SPORT WODNY W POLSCE. Z roku na rok rośnie sport wodny w Polsce. Oto przystań jachtów żaglowych na Wiśle pod Warszawą. (Światowid)



KONKURSY HIPPICZNE W POLSCE. Oto otwarcie międzynarodowych konkursów hipicznych w Warszawie. Grupa polska otworzyła defiladę. (Światowid)



OFIARA STRAJKU. Gdy pikietujący strajkierzy starli się z policją w Youngstown, O. przed stacją Republic, jeden ze strajkierów, Jan Bogowicz został zabity. Rannych strajkierów policja przewoziła trokami do szpitala. (Acme)



Z BERLINA DO WARSZAWY. W tym malutkim aeroplaniku, zaopatrzonym w dwu-taktowy motor, Fritz Auferman przeleciał z Berlina do Warszawy, używając na tej przestrzeni 320 mil 7 galonów gazoliny. (Acme)



PIEKNO POLSKICH KOŚCIOŁÓW W AMERYCE. Wieża nowego kościoła polskiego, św. Kazimierza, w Hammond, Ind., gdzie proboszczem jest ks. Hogiński. (Foto: Henryk)



STARE TRADYCJE. W teatrze Łazienkowskim na wolnym powietrzu, a właściwie wśród jego malowniczych ruin, wznowiono operę Moniuszki "Verbum Mobile". (Światowid)



WIEŻA RATUSZOWA W KRAKOWIE, wraz z widokiem na Sukiennice na przedzie, oświetlona w nocy. (Światowid)



WYSTAWA OBRAZÓW NA WOLNEM POWIETRZU. Uczniowie Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie urządzili wystawę swych obrazów na wolnym powietrzu przy bramie Floriańskiej sprzedając swe dzieła turystom, wzorem swych kolegów z nad Sekwany. (Światowid)



NAJNOWSZE PAJAMAS. Jean Patou, rysownik mód kobiecych, podał wzór najnowszych pajamas damskich, zrobionych z tweed płótna. (Acme)



TYP POLSKIEGO FARMERA. Oto typowy polski farmer Kogut, z Dancy we Wisconsinie (24 mile na północ od Stevens Point). (Foto: Henryk)



WANDALE. Gdy mąż pani J. R. Nowak w Canton, O., był na pikniku przed fabryką Republic, w której wybuchł strażak, wandalę wtargnęli do domu Nowaków i zniszczyli wnętrze. (Acme)



NOWY CZŁONEK AKADEMII LITERATURY. Kornel Makuszyński, znakomity powieściopisarza i poeta polski, zamianowany członkiem Akademii Literatury Polskiej. (Światowid)



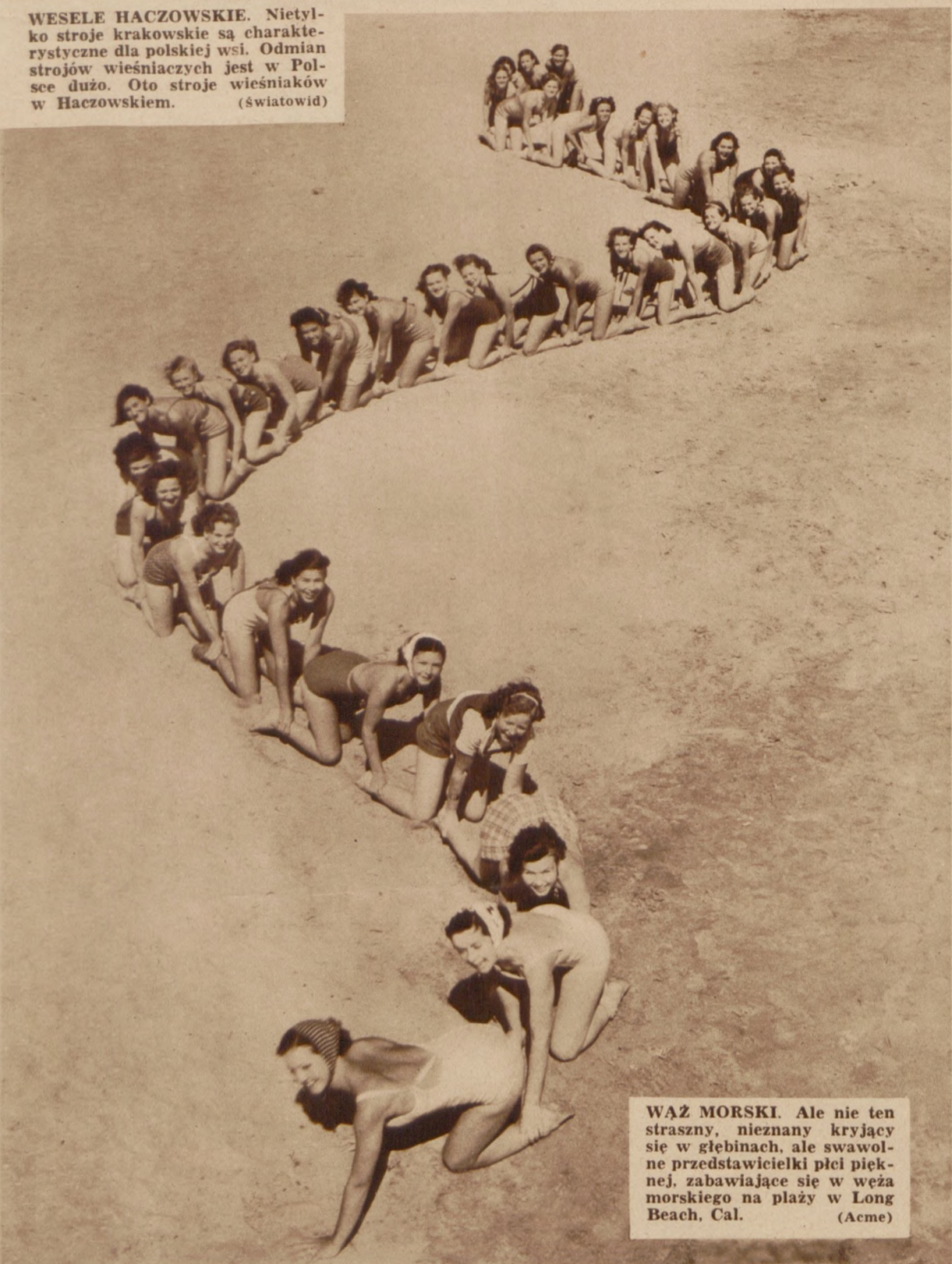


**BOŻE CIAŁO NA KURPIACH.** Mało stosunkowo znane są wiejskie stroje wieśniacze Kurpiów. Oto zdjęcie fotograficzne z procesji Bożego Ciała w Myszyńcu, na Kurpiach. (Światowid)

**JEDNA Z PRZYWÓDCZYŃ STUDENTÓW POLSKICH W CHICAGO.** Czesława Niewińska, 2328 No. Spaulding, pianistka i tancerka, zamilowana w polskich tańcach, uczennica kolegium Mundelein, jest sekretarką chicagowskiej Rady Stowarzyszenia Polskich Studentów, które odbędzie swój zjazd w hotelu LaSalle dnia 2, 3 i 4 lipca.



**WESELE HACZOWSKIE.** Nietylko stroje krakowskie są charakterystyczne dla polskiej wsi. Odmian strojów wieśniaczych jest w Polsce dużo. Oto stroje wieśniaków w Haczowskim. (Światowid)

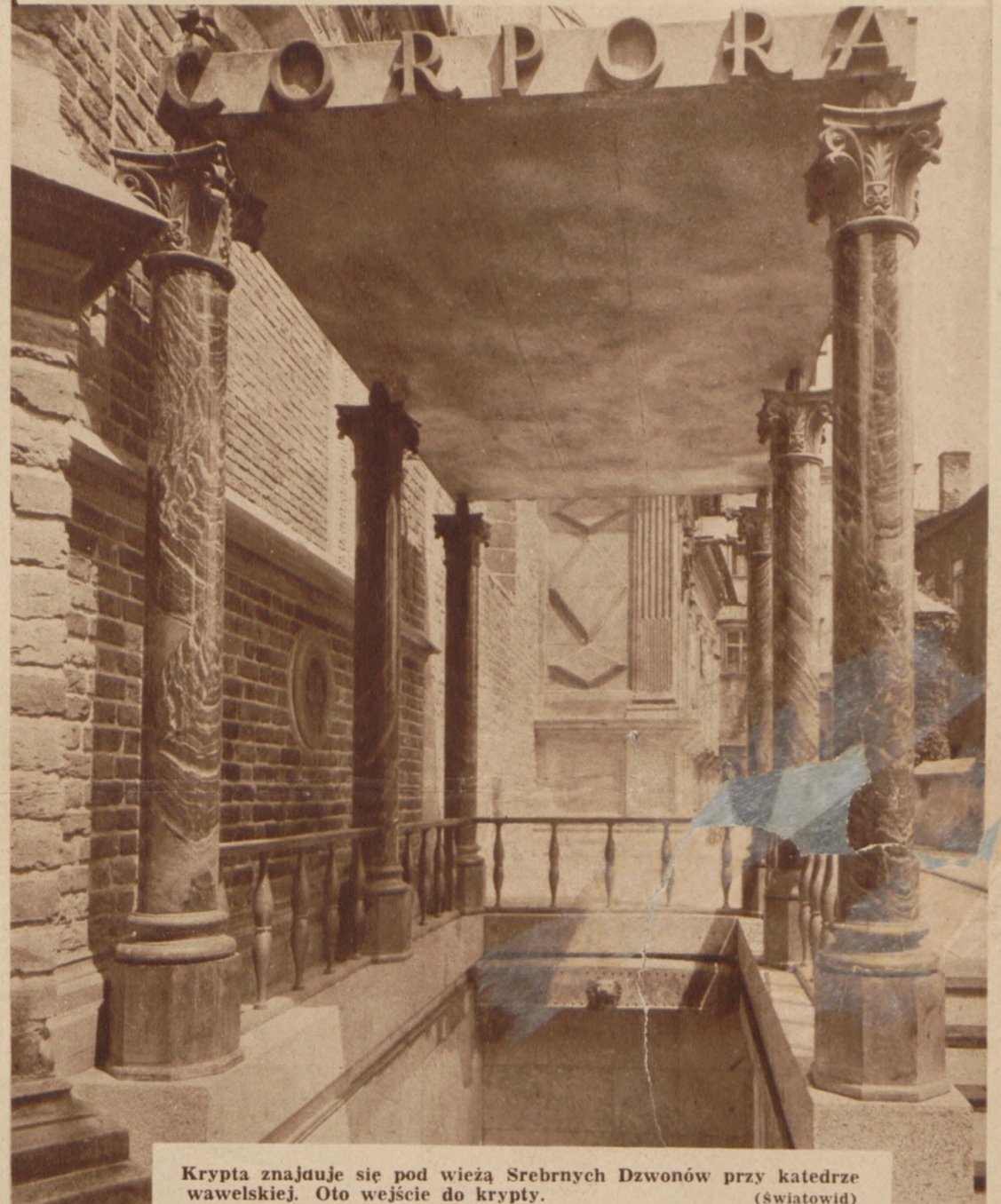


**WĄŻ MORSKI.** Ale nie ten straszny, niezmany kryjący się w głębinach, ale swawolne przedstawicielki pięci pięknej, zabawiające się w węży morskiego na plaży w Long Beach, Cal. (Acme)



**POLAK ŻOKEJEM.** L. Balaski, żokej prowadzący konia Dawn Play wygrał pierwszą nagrodę i \$31,000 na American Derby w Washington Parku w Chicago. (Acme)

## Krypta Marszałka Piłsudskiego na Wawelu.



Krypta znajduje się pod wieżą Srebrnych Dzwonów przy katedrze wawelskiej. Oto wejście do krypty. (Światowid)



Wnętrze krypty, w której złożona będzie trumna ze zwłokami marszałka. Brama kuta artystycznie w godła państwowe i herb marszałka. (Światowid)



## ALBUM KRÓLÓW POLSKICH



LESZEK CZARNY

(1279-1288)

Pokonał księcia ruskiego Lwa pod Goślicami, potem walczył zwycięsko z Litwinami. Tatarzy znowu najeżdżają za jego panowania i plądrują Małopolskę.

### Powód Oburzenia na Arcybiskupa Sapiehę.



Wnętrze krypty pod wieżą Srebrnych Dzwonów, przygotowywanej dla pomieszczenia sarkofagu Marszałka Piłsudskiego, które spowodowało zatarg pomiędzy rządem polskim a arcybiskupem krakowskim ks. Sapiehą, który polecił przenieść sarkofag do krypty, nie pytając nikogo o zgodę ani o zezwolenie. (Światowid)



Spróbujcie Te Chłodzące Trunki Monastery Sloe Gin FIZZ lub RICKEY Produkt firmy NATIONAL CORDIAL CO., Chicago M. F. Strużyński i Syn, właśc. Do nabycia w składach likierów i tawernach



"DNI KRAKOWA" odbyły się w roku bieżącym wśród poważnych uroczystości. Tłumy publiczności ciągnęły naturalnie do "Wesołego Miasteczka", odpowiadającego naszemu "Riverview". (Światowid)



SWIETO NARODOWE W WARSZAWIE rozpoczęło paleniem na placu Marszałka Piłsudskiego stosu przez młodzież harcerską i przysposobienia wojskowego. (Światowid)



Artystyczna brama, wiodąca do krypty Marszałka Piłsudskiego. (Światowid)